

18
17
16
15
14
13
12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1
0

WILHELM TELL,

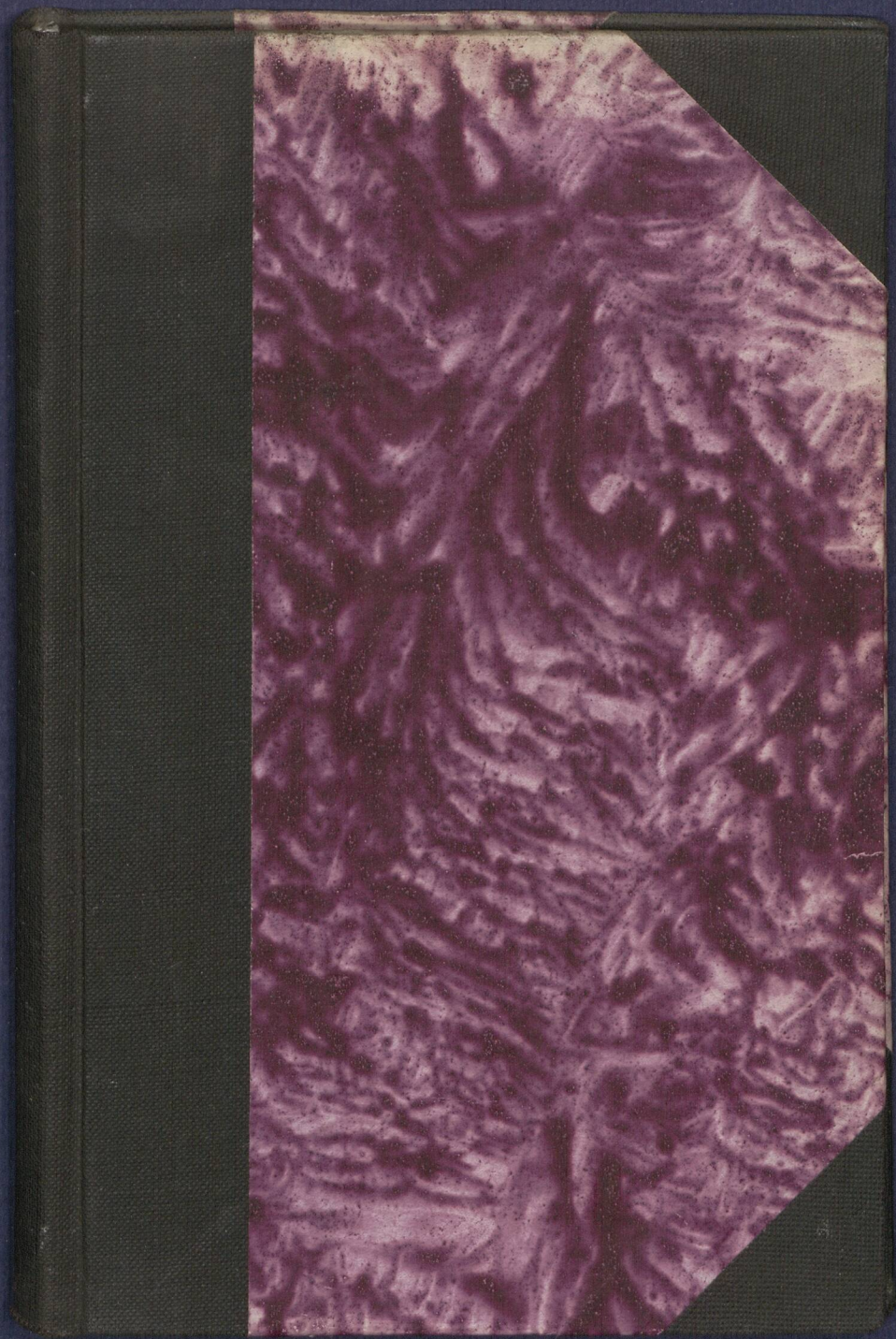
POEMAT LUDOWY

PRZEZ

J. K.

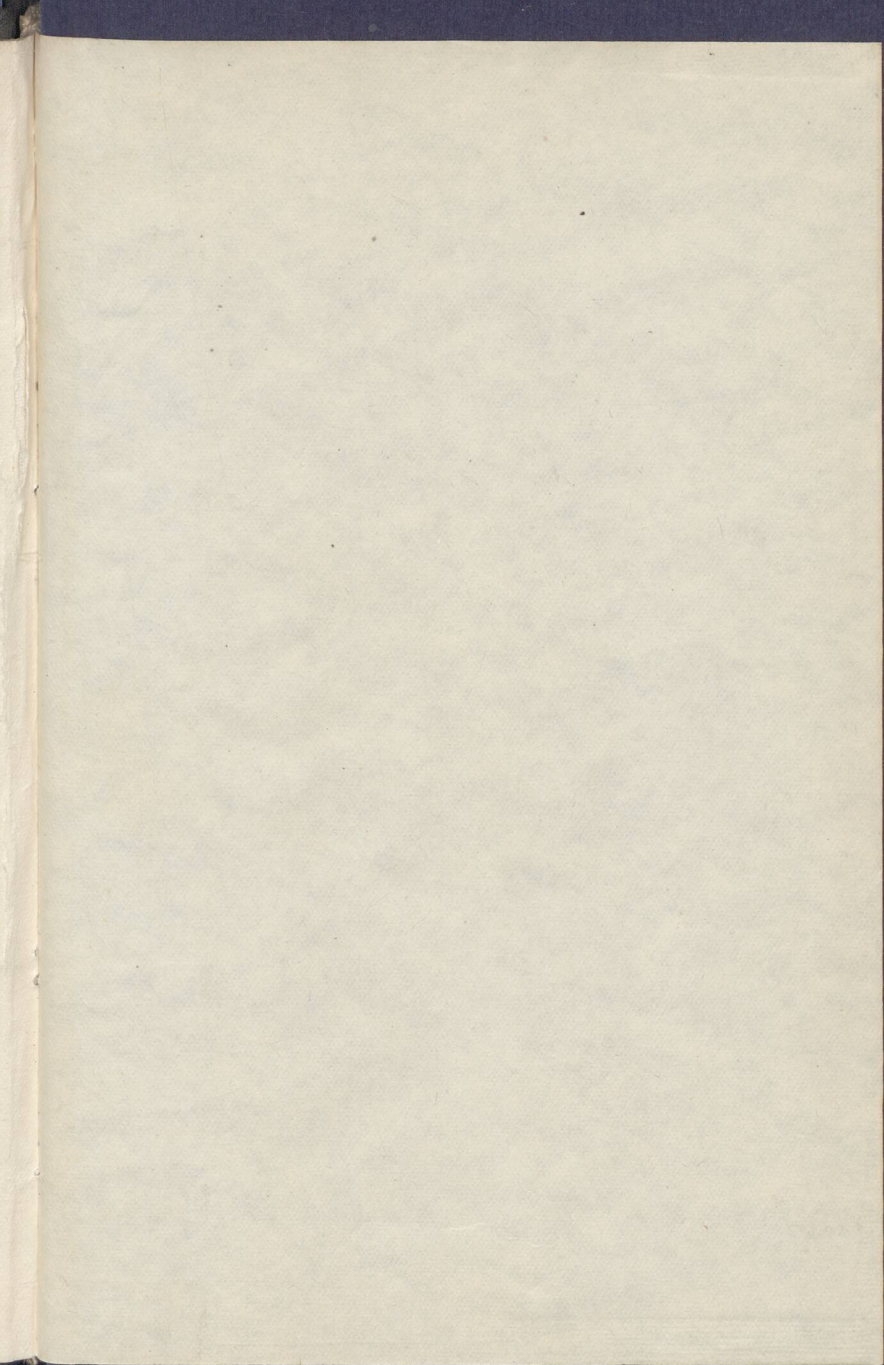
POZNAŃ,
J. K. ŻUPAŃSKI.
1863.

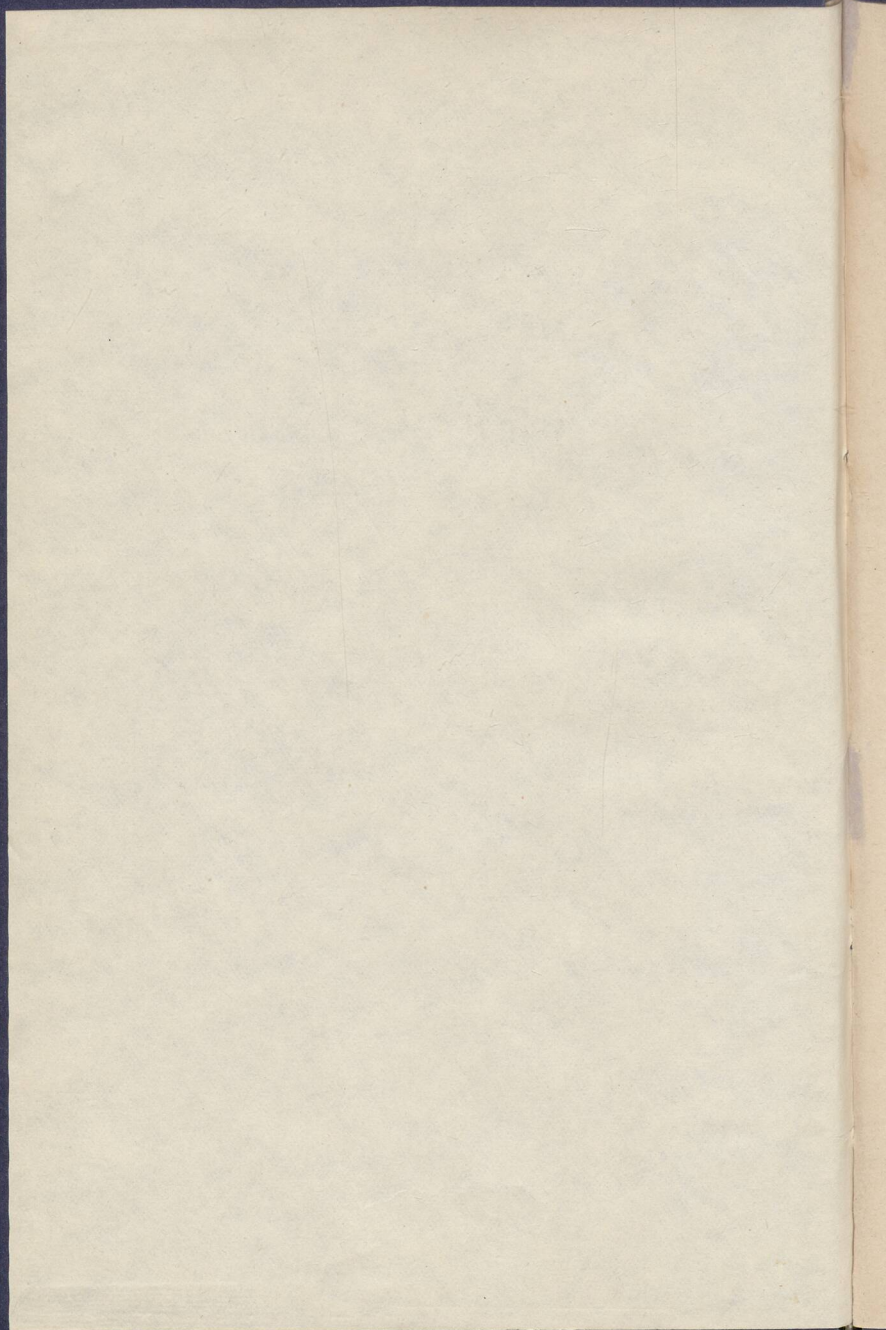
0 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11





BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIwersytetu im. A. Mickiewicza
W POZNANIU





WILHELM TELL.

WILLIAM N. TEE

WILHELM TELL,

POEMAT LUDOWY

PRZEZ

J. K.

POZNAŃ,
J. K. ŻUPAŃSKI.
1863.

WILHELM TELL

FORMAT LUBOWY

400 834 I



Poznań, czcionkami Ludwika Merzbacha.

62. WK. 57

Wilhelm Tell.

Poemat Ludowy.

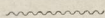
Narodzie ofiar — poświęceń — miłości!
Co drogę życia znaczyłeś krwią swoją;
Coś zawsze stawał, pod sztandar wolności!
Tobie, o Polsko! przynoszę pieśń moją:
Pieśń bohatérskich poświęceń, i czynów,
Która niech płynie we krwi twoich synów,
Niechaj tych zbudzi, których sen dziś morzy —
Niech pierś rozsadza potęgą swą siły.
A z gruzów nową ojczyznę odtworzy,
Anioł wolności powstanie z mogiły
I bój znów pocznie z despotyzmem świata
W który dziś ziemia tak bardzo bogata. —
Na łonie ludu mąż swobód się zjawia,
Młodość przepędza wśród tłumu, nieznany,
Aż geniusz czynu swe siły objawia
I pędzi dumny jak potok wezbrany
A chociaż pierś swą rozedrze o skały

Grób znajdzie w morzu, ale grób wśród chwały.
 Lud-Mąż powstaje, gdy jarzmo niewoli
 Za bardzo cięży! — gdy wola tyrana
 Za nadto ciśnie! — gdy wzgarda zaboli,
 Którą mu ciska dumne oko pana. —
 A jęk swój tylko śląc do nieba skrycie
 Tłumi w nim nawet głośnie serca bicie.
 Lud ujarzmiony, na pół tylko żyje
 Ze sądą w ręku wróg śledzi to życie,
 I niech przypadkiem strumień ten odkryje,
 On go wysuszy — zadławi — zabije,
 I myśli głupi! że naród nie żyje!
 A naród tylko głębiej życie kryje. —

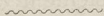
~~~~~

W dzikiej Helweyi wśród górskiej natury  
 Urósł bohater, zbawca swoich braci;  
 Silny jak dąb ten, co okrywa góry;  
 Wolność wcielona w wieśniaczej postaci.  
 A ziemię kochał swą, nad wszystkie słowa  
 Dla niej pierś jego — dla niej jego głowa.  
 On kraj obudził, drzemiący w okowach,  
 Lemiesz zamienił w miecz, krwi wrogów chciwy;  
 Natchnął lud męstwem w swych pocziwych mowach  
 Oczyszczył z wrogów ojczyznę swęj niwy,  
 Wolności ziarna zasiał w twardej skale,  
 Co się przyjęły i wzrosły wspaniale. —  
 Ubiorem jego jest chłopska sukmana,  
 A mała chatka, jak gniazdo jaskółki  
 Do granitowej skały przylepiona

W miłym pożyciu lubej przyjaciółki,  
 Jest mu pałacem najdroższym na świecie,  
 A skarbem jego syn — jedyne dziecię. —  
 Z łukiem z jarzęba, gór zwiedza urwiska  
 I w pław przebywa spienione potoki;  
 Z skały na skałę, jak koza się ciska  
 Albo szle strzałę za orłem w obłoki,  
 A gór lawiny odwagą zdziwione  
 W hołd mu się toczą na łąki zielone. —



A ty wędrowcze! gdy Aldorfu brzegi  
 Cuda Helwecyi przebiegasz, wzachwycie,  
 Kiedy podziwiasz stromych gór szeregi,  
 Co się rysują na niebios błękie; —  
 Wynajdź grób Tella i uderz mu czołem  
 Bo on wolności świętym apostołem. —  
 Cudów kraino! Szwajcaryjo wspaniała!  
 Któż nie zna z męztwa, szlachetnych twych synów?  
 Komuż jest obca twoich dzieci chwała?  
 Komuż nie znany szereg świetnych czynów!  
 W jakie historia ozdabia twe skronie,  
 W nich imie Tella, jak meteor płonie.



W pośród gór twoich nieprzejranych cieni,  
 Co z śniegu mają uwitą koronę —  
 Wśród wiecznej wiosny i lasów zieleni,  
 Trzy pokolenia żyły połączone. —





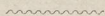
A nazwa Schwitzu, Unterwaldu, Ury,  
 Nie wyszła nigdy za obręb ich góry. —  
 Praca, oszczędność — były ich przymioty,  
 Uczciwość, wiara, ludzkość, poświęcenie,  
 I wolność! (owo straszycło despoty.)  
 W ich małych chatkach, miały swe schronienie.  
 A każdy z mężów, chociaż wśród pokoju,  
 Uprawiał ziemię, gotowy do boju. —  
 Tych trzech Kantonów, są święte nazwiska,  
 A ich mieszkańcy, jakby lud wybrany  
 U gór podnóża mając swe siedliska  
 Spokojnie swoje uprawiali łąny —  
 A gdy w około jęczały narody,  
 Jak mały okrąg był krajem swobody.  
 Nad twoją głębią Aldorfie wspaniały  
 W której odbijasz stromych skał szeregi,  
 Co cię w około wieńcem opasały —  
 Jak w ramy wzięły twe zielone brzegi  
 Wznosi się miasto — Kantonu stolica  
 Która przegląda w twych wodach swe lica.  
 Tu z gór szumiące, mkną szybkie potoki  
 I cudne tworząc katarakty w biegu,  
 Pianą okryte spadają z opoki,  
 Niosąc kwiat róży, razem z bryłą śniegu,  
 I z wolna płynąc pod cieniem olszyny  
 Zdają się drzemać w objęciach doliny.  
 Pasterka tylko tylko zamąci ich wody  
 Gdy bosą nogą łożysko przechodzi,  
 Pędząc spragnionych owiec białe trzody,  
 Kraśne swe lica w ich cieniu ochłodzi,

A kwiat nadbrzeżny rwąc dla stroju głowy,  
Sama stanowi brzegów powab nowy.

~~~~~

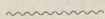
Pośród winnicy i sadu z jabłoni
Co się piętrzyły na góry ramieniu,
Wśród starych dębów i róż polnych woni,
Mała się chatka kryła w liści cieniu.
Wieśniak Wilhelmem Tellem nazywany
Żył w niej na łonie rodziny nieznany.
Gdy stary ojciec zegnał go przy grobie,
I drżące ręce unosił nad głową,
A wzrokiem tęsknym ciągnął go ku sobie
Jakby go wziąć chciał z sobą w podróż nową:
„Synu mój!“ mówił starzec białowłosy.
Sześćdziesiąt wiosen w tej chacie przeżyłem,
Pięćdziesiąt razy z pól zbierałem kłosy,
A nigdy zbrodnią Bogu nie zgrzeszyłem
Nikt mi wyrzutem nie spiętnował czoła,
Dnie miło ciekły, noc była wesoła.
Pracój mój synu wesoło na niwie
Swym znojem skrapiaj żyzne jej zagony
Jak ja wiek cały przepędzisz szczęśliwie. —
Lecz synu! gdyby po mojej mogile,
Wróg kraju deptał swą stopą skrwawioną,
Wtenczas rzuć dziecko, żonę w jedną chwilę,
Dom własny podpal — niech twe styrty spłoną,
I walcz za wolność od zmierzchu do rana.
Aż sam polegiesz! lub zwalczysz tyrana.
A gdy do walki niestanie sposobów,

Kiedy opadną strudzone ramiona,
 My starcy w ówczas powstaniemy z grobów
 I otoczywszy wolności ramiona,
 Będziemy walczyć na grobie swych dzieci
 Aż lubej ziemi, znów wolność zaświeci. —



A Wilhelm drżący, chwyta ojca słowa,
 Na grobie jego wykonał przysięgę
 Że je w pamięci do śmierci zachowa
 I że nie splami niczem swą siermięgę,
 Która u niego droższa nad klejnoty
 Jako odzienie prawości, i cnoty. —
 Kiedy jutrenka wyjdzie z za obłoku
 Tell rosłe cielce do pługą zaciąga,
 Czoło skropiwszy wodami potoku.
 Za pługiem skiba,* jakby czarna wstęga
 Zdobi gór boki, on ją potem rosi;
 Albo sąsiadom swą pomoc przynosi. —
 Wysoki, jakby głową sięgał chmury,
 Najchybszy jeleń, nie zrówna mu w biegu,
 Przesadza przepaść — zapuszcza się w góry
 Aby niedźwiedzia spotkać na noclegu,
 I samą ręką bez broni użycia
 Przywieść go do dom, lub pozbawić życia.
 Gdy młodzież w święta wyprawia gonitwy,
 Albo igrzyska, strzelania do celu,
 Pomiedzy sobą tworząc obraz bitwy,
 On jeden wieńca nie szuka wśród wielu.
 Bo napiąć łuku, nikt równie nie zdoła,

Dosiedź zeń kozę — lub w locie sokoła. —
 A gdy sajdaki już puste w około
 A ptak na maszcie swobodnie spoczywa
 W ów czas szkarłatem, płonie Tella czoło
 Z niecierpliwością łuk wielki porywa
 I pierwsza strzała puszczone w obłoki
 W wierzchołek masztu zagrzeża wysoki,
 A ptak spłoszony podlata do góry —
 Choć cienkie sidło, nogę mu okala;
 Tell drugą strzałą, przecina mu sznury,
 I lecieć wolno w powietrzu dozwala —
 Tell trzecią strzałą wypuszcza z cięciwy,
 I ptak na ziemię upada nieżywy. —
 A lud zdziwiony, przyklaskuje w dłonie,
 Kwiaty nań sypią Uryku dziewice,
 Wieńce wkładają na młodzieńcze skronie
 I wodą rosą uznozone lice, —
 Lecz Wilhelm szuka Edmy tylko w tłumie
 Dla niej on żyje — jej serce rozumie.



Oko jej pała jak brylant w promieniu,
 A dusza czysta odbija z jej słowa,
 Lica przy innych, jak światło przy cieniu,
 Edma wśród dziewczek błyszczy jak królowa,
 A choć sierota, bez bogactw i mienia
 Lecz z cnotliwego pochodzi plemienia.
 Gdy pasie trzodę, nad brzegiem jeziora
 Biedna sierota, nie duma w pokoju,
 Lecz przędzie wełnę z rana do wieczora

Albo się krząta, koło owiec doju.
 Góralska odzież do wpół kryje nogi,
 We włosach kwiatki, w twarzy uśmiech błogi.
 Tell nie bił czołem przed kobiety twarzą,
 Nie był kochankiem co duma i śpiewa,
 W którego oku, płomienie się żarzą,
 A w bóstwa szaty kochanke odziewa;
 I jak niewolnik dźwiga łańcuch złoty,
 Zapomni praw swych, za chwilę pieszczoty. —
 Tell kochał Edmę, jak ojciec swe dziecko,
 Gotów zań cierpieć, — zginąć zań w potrzebie.
 Lecz ją nie stroił w wyobraźni kwiecie
 Nigdy ją wyżej nie stawiał nad siebie.
 Nigdy jęj serca nie odkrywał głębie
 U nóg nie gruchał, jak nasze gołębie. —
 Nie włos trefiony — delikatne lice,
 Dawniej do serca mówiły kobiety,
 Bładym próżniakiem, gardziły dziewice
 A mężom dzielnym zносиły bukiety.
 Jeśliś chciał serce z schołdować dziewczyny
 Dzielnyś być musiał — i dzielne twe czyny. —

~~~~~

Raz w święto, gdy lud wychodził z kościoła,  
 Tell rękę Edmy wziął w obec narodu,  
 A ciekawymi obstapion do koła,  
 Te jej rzekł słowa, publicznie w śród grodu:  
 „Edmo mam chatkę, co nas zmieści dwoje  
 Przybądź ty do niej — znajdziem szczęścia roje.  
 W niej spotkasz męża, co cię kocha szczerze,

Bogactw nie wiele — ale cnoty wiele —  
 Składam Ci dom mój i serce w ofierze.  
 Słowa me zaraz powtórzę w kościele,  
 A ile tylko mam w méj duszy siły,  
 Będę się starał abym ci był miły.“  
 — „Wilhelmie“ „Edma zapłoniona rzecze,  
 Jam ciebie dawno wśród wielu wybrała,  
 Masz rękę moją szlachetny człowiecze...  
 Wilhelmie... Jam cię od dawna kochała,  
 Tyś mi osłoną — ty wsparciem w potrzebie,  
 Ja żyję w tobie i umrę dla ciebie“  
 I odtąd szczęście ciągnęło się do chaty,  
 Praca szła milej — w szczęściu biegł dzień boży,  
 Mały ich domek, tak w szczęście bogaty!  
 Bo Bóg w oborze i stodołę mnoży. —  
 A płonna niwa tyle zboża rodzi,  
 Że żebrak od wrót próżno nie odchodzi.

~~~~~

Wkrótce do chaty zawitał gość nowy,
 On szczęście w domu powiększył we troje.
 Milej przyszłości założył osnowy,
 Miał wspierać matkę, ojca dzielić znoje.
 I rosnać w lata dla ojca i kraju
 Jak to w tym ludzie oddawna w zwyczaju.
 Gemmi młodziuchny, piękny jak świt zorzy
 Gdy małe rączki wyciąga do matki,
 I gdy nieznanym językiem gaworzy,
 Edma na pałac, nie zmieni swej chatki.
 Bo szczęście matki — gdy ma pierwsze dziecię

Z żadném się drugim nieda zrównać w świecie. —
 Ale niedługo to dziecię wyrośnie.
 Czas prędko leci, gdy szczęście z nim płynie;
 Tell pod swój dozór już wziął w szóstej wiosnie
 Małego Syna — i wpajał dziecinie
 Miłość dla Boga — Ludzkości — Rodziny
 W górach i w polu, spędzał z nim godziny. —
 Wiódł go po zmarzłych lodach na skał szczycie,
 Potok wezbrany razem z nim przepływał;
 Idąc na łąki, budził go o świecie —
 Wszystkie skłonności, w dziecku wypatrywał
 I krzewiąc dobre, w bujnej serca roli,
 Złe wykorzeniał, lub zmieniał powoli.
 A mały Gemmi poważniał w rozmowie;
 Kiedy mu ojciec nauki udzielał,
 Brał je do serca, — porządkował w głowie,
 Swęmi postępy, matkę rozweselał.
 Tell z dumą w sercu spoglądał na dziecię,
 Co się w tak piękne rozwijało kwiecie.

~~~~~

W górach pomiędzy Unterwald i Ury  
 Co się rysują w stromych skał szeregi,  
 Na których szczycie osiadają chmury,  
 Na których czole wiecznie biela śniegi,  
 Nad które orzeł, lot wznosząc wspaniale  
 Dumny osiada na zmarzniętej skale  
 I wodząc okiem po świata przestworze,  
 Wygląda łupu, krwią zaszlą żrenicą,  
 A pod stopami ma góry i morze,

Gwiazdy, się zdaje, niżej ludziom świecą.  
 Orle to kraje — i orle też plemie  
 W koło obsiada tę skalistą ziemię. —  
 Wśród nich żył Malktal — sławny z swej urody  
 Przyjaciół Tella — odważny i śmiały.  
 Malktal! ognisty obrońca swobody!  
 W którego ciele wszystkie nerwy grały  
 A krew kipiała jak krater wulkana  
 Gdy słyszał rozkaz — lub wyrok tyrana.  
 Był on jak potok, pędzący ze skały,  
 Co niesie głazy i rozrywa tamy.  
 Tell zaś odważny — spokojny — wspaniały —  
 Do serca głębin nie otwierał bramy,  
 Lecz dumał długo — rozważał głęboko,  
 A lice zawsze też samo i oko.  
 Razem w dni święta wyprawiali gody,  
 To Wilhelm z żoną i synem pospołu  
 Niósł mu owoce i z winnic jagody,  
 Albo z nim szukał zbłąkanego wołu.  
 Lub sieć naprawiał na pstrągi złociste.  
 Młucił z nim zboże, siekł łąki kwieciste,  
 Lub Malktal ojca prowadząc z daleka  
 Wiódł go wraz z córką do mieszkania Tella.  
 Tam Edma z czarą czekała już mleka  
 Wilhelm z uściskiem ręki przyjaciela,  
 A Gemmi kwiaty z pobliskiej doliny  
 Niósł zapłoniony dla pięknej dziewczyny,  
 I wspólnie siadłszy pod cienistym klonem  
 Na rozesłanym z murawy dywanie  
 Pod przezroczystym sklepieniem zielonem



Skromne z nabiału dzielili śniadanie.  
 A plastry miodu stanowiły wety  
 I winne grona, ubrane w bukiety. —  
 Ojciec Malktala prawił dawne dzieje,  
 Jak wiek przepędził na łowach i pracy  
 Jakie przechodził na świecie koleje  
 Jak go kochają, szanują rodacy.  
 A towarzystwo zasiadłszy w około  
 Słucha jak starzec rozprawia wesoło.  
 A mały Gemmi, wzięwszy rękę Klary  
 Wzrok swój utopił w młodziuchnej jej twarzy  
 Z uśmiechem na nich patrzy Malktal stary  
 Lub głowę schyla — zdaje się że marzy —  
 A Wilhelm, Edma, młody Malktal trzeci  
 Wesoło patrzą na zabawki dzieci. —  
 A dzieci rosły i w miłość i siły,  
 Na bujnej ziemi skoro kwiaty rosą.  
 Serca ich wspólne jednym dźwiękiem były  
 Gdy siadłszy razem pod cienistą sosną:  
 Gemmi na głowę kładł jej kwiatów wieniec  
 A Klary lica oblewał rumieniec. —

~~~~~

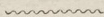
Tak żył lud wszystek w tym małym Kantonie,
 Miłość mu drogę do szczęścia otwiera;
 Wesół — szczęśliwy — na wolności łonie
 Gdy raptem Rudolf na stronie umiera,
 Co nieśmiały napaść przybytku swobody,
 A miejsce jego zajął Albert młody —
 Dumny — nadęty — przystępny podłości.

Wrzał gniewem — widząc że w małym Kantonie
 Jest lud — co ciągle używa wolności
 I brylantowém światłem swobód płonie.
 Wysłał więc rządcę pomiędzy ich góry
 Z rodu Geslerów — lecz wilka z natury.

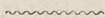
Ludzkość wydaje czasem dziwne twory:
 To wielki genjusz swą potęgą płonie,
 To znów jak Neron — olbrzymie potwory
 Losy narodów biorą w swoje dłonie.
 I krwawy sztandar rozwijają grozy
 Tworzą turturę — kajdany — powrozy.
 Gesler był właśnie okrutny jak zwierze
 Pierś jego mordem — i pożogą wrzała.
 Jęki niewinnych słał piekłu w ofierze
 A wyobraźnia męki wymyślała
 Któreми mógłby gnębić ludzi — braci,
 Do których rządu należał z postaci. —

Tell drzał na ucisk — gotów do ofiary.
 Przeczuwał chwilę w której stós zapłonie,
 W której rozwiną wolności sztandary —
 W której miecz chwycą pracowite dłonie.
 Porzucą domy i żony i dzieci,
 Aż lubej ziemi znów wolność zaświeci. —
 Lecz myśl jak perła, była w duszy głębi,
 Czoło zmarszczone jak woda jeziora;
 Twarz zachmurzona — wyrazem swym ziębi

Boli go innych, chaniebna pokora.
 Z ust jego zimna obojętność wieje,
 Lecz któż odgadnie co się w duszy dzieje?
 Tell długo nawet nie spojrział na żonę,
 Lubego syna nawet nie popieści,
 Serce jest jego walką napelnione,
 Cierpliwie znosi tajone boleści,
 I czeka chwili co ma wejść na niebie
 W której dla braci, sam poświęci siebie.



Malktal ognisty raz wybuchł przed Tellem
 Na wrogów ludu — srogiego Geslera —
 Wilhelm nie odkrył nic przed przyjacielem
 Milczy i w piersi myśl swoją zapiera.
 Ale myśl wielka już dojrzewa w duszy
 Co więzy kraju i braci pokruszy. —



Gdy raz wieczorem, Tell przed chatą siedzi,
 Głębokim dumom pochyliwszy czoło.
 I płasy dziecka z roztargnieniem śledzi,
 Co na podwórzu bawi się wesoło,
 Edma oparta, patrzy w jego lice
 W których się zdaje czytać tajemnice.
 W tem płacz i jęki ozwały się w dali,
 Tell zadrzał cały — i prawie w téj chwili
 Starca Malktala z wnóczką rozpoznali,
 Jak z wolna z góry przeciwnéj zschodzili.
 Młodziutka Klara, wspiera dziada kroki

By się nie potknął i nie spadł z opoki.
 Tell wyszedł naprzód — roztworzył ramiona,
 Rad w nich uścisnąć starca, przyjaciela.
 Lecz cóż za widok... twarz jego zraniona,
 W dwa się strumienie krew na niej rozdziela.
 A miejsce kędy się oczy świeciły
 W dwie krwawe jamy teraz się zmieniły.
 Tell zgrozą zdjęty, odskoczył na strone.
 A Malktal starzec, drżącym woła głosem:
 „Tellu! mam jeszcze serce zostawione,
 Które z pokorą godzi się z swym losem
 Pójdź doń Wilhelmie! ściśnij starca dłonie,
 A łuk twój szykój w wolności obronie.“ —
 — A oko Tella krwawą zemstą błyska.
 — „Któż jest ten tyran... ten zbrodzień...“ zawoła,
 Co nie szanował twojego ogniska,
 Co nie uchylił przed starością czoła?
 Krwią niewinnego oblał pierś i skronie,
 Gdzie syn twój, starczel?... czy legł w twej obronie.
 Tak legł zapewne!... ja zastąpię jego,
 „Za krople krwi twej — krwi popłynie morze.
 Przysięgam! miecza nie złożę mojego,
 Pokąd tyrana pierś nim nie otworzę...“
 I kraj kochany, nie zerwie okowy,
 Dotąd nie wzniosę pochańbionej głowy.“

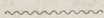
— „Nie winój syna“, rzekł starzec z westchnieniem.
 „Pókąd o całej nie usłyszysz sprawie.
 Lecz wprzód usiądźmy pod jabłoni cieniem,

A w kilku słowach rzec całą przedstawię. —
 Weźcie me dłonie, trzymajcie w swe ręce,
 A może prędzej zapomnę o męce.“
 I usiadł starzec na mchu pod jabłonią.
 Tell pięście ścisnął i milczał jak skała,
 Gemmi i Klara obfite łązy ronią.
 Edma z rozpaczą w ten obraz patrzała.
 — „Jak pięknie słońce dziś weszło z za góry,
 A już go pono, nie ujrzę raz wtóry.“
 Od tych słów starzec zaczął dzieje swoje.
 — „Dziś właśnie rano, kiedy weszło zorze
 Wyszliliśmy żyto zasiać wszyscy troje.
 A w tem patrzymy... jak prosto przez zboże,
 Na koniu człowiek jakiś ku nam zmierza
 A syn mój zdala poznał w nim żołnierza.
 Cielce się pasły, wyprężone z woza
 Siepacz Geslera prosto ku nim jedzie
 I wydobywszy z zanadru, powroza;
 Na kark zakłada i z sobą je wiedzie.
 — „Stój! woła syn mój, z czyjego rozkazu
 Cały majątek chcesz brać nam od razu?!“
 — „Cóż to zuchwały — odrzekł zbir powoli,
 Ty śmiesz mnie pytać, co mnie tu sprowadza,
 Ty się ośmielasz oprzeć pańskiej woli,
 Ty nie znasz, widać, jaka nasza władza!...
 Milcz niewolniku i niebądź tak skory
 „Bo kark twój przygniem, na znak twój pokory.“ —
 — A syn mój chwycił jarzmo z wołów zdjęte,
 I już je uniósł nad słuźalca skronie
 Już miał uderzyć, to zwierze przekłete,

Kiedym ja stanął, w najezdcy obronie.
 A syn mój rzecze — „Dziękuj Bogu człeczce,
 Lecz co się zwlekło, to ci nie uciecze.“
 Żołdak uchodząc, uniósł zemstę w plonie,
 Z daleka groził zuchwałemi słowy,
 A my jak wryci stali na zagonie,
 Czując pioruny nad naszymi głowy.
 Synu mój „rzekłem“ znam Geslera ramie,
 Okrutne ono — wszystko w zemście złamie.
 Kłnę Cię na Ojca i na dziecko twoje,
 Uchódź czém prędzej — bo krew twa popłynie
 Ja tutaj całą tę sprawę zagoję
 Uchódź mój synu — uchódź w tej godzinie...
 — „Mam Cię opuścić! O Ojczy! kochany,
 Nigdy! niech będę w szmaty rozszarpany,
 Moja powinność, skonać w twej obronie.
 Tyś dał mi życie — rzucę Ojca mego?
 Niech krew wytoczą, jaka jest w mém łonie.“
 — „Rozkazuję Ci“! — krzyknąłem na niego
 Natychmiast skryć się w Unterweldu groty,
 Tyran nie dotknie starca i sieroty.
 A kiedy chmura, co nam grozi, minie,
 Oboje z Klarą przyjdziemy do ciebie,
 Uchódź — bo wierz mi — nim doba upłynie,
 I nas zabijesz — i sam zgubisz siebie.“
 A syn mój ukląkł — całował mi nogę
 A jam go cicho błogosławił w drogę
 Klarę płaczącą przycisnął do łona
 Spojrzał ku niebu, łzą nabrzmiałém okiem,
 Niedźwiedzią skórą okrył swe ramiona,

I szedł pochmurny, skazanego krokiem,
 A ledwie tylko zakryły go krzaki,
 Jak pole nasze zalegli żołdaki.
 I w zdłóż, i w poprzek zbiegli nasze łany
 Napróżno łupu szukając dla pana,
 Mnie w miejsce jego okuli w kajdany
 I tak zawiedli do zamku tyrana.
 — „Gdzie syn twój! „krzyknął“ — gdzieście go ukryli
 Powiedz natychmiast, lub umrzesz w tej chwili!“
 — „Uderz „wyrzekłem“ pierś moja gotowa,
 Dwa razy dziecku dam więc życia dary“,
 A Gesler cały zadrzał na te słowa,
 A w oczach jego płynęły pożary,
 A myśl nad męką po głowie się wiła,
 Której by starość moja nie skróciła.
 Dał znak siepaczom — i w tej samej chwili
 Dwóch mnie żołnierzy, na ziemię obalili,
 I ostre noże w oczach utopili.
 — „Dość już „rzekł Gesler“ wyrzucicie go z sali“
 Przed zamkiem wkrótce piasek krwią broczyłem
 I tylko Boga o śmierć już prosiłem.
 Niedługo Klara, to pocziwe dziecko,
 Z krzykiem się w moje rzuciła ramiona;
 Resztę powieści pewno odgadniecie.
 Droga z Aldorfu aż dotąd skrwawiona,
 Lecz syn mój wolny — trzymam rękę Tella,
 Skarby mam jeszcze, gdy mam przyjaciela.“
 — „Dość!“ Tell zawołał“ dość, starcze, na Boga,
 Zbrodnia ich straszna! zemsta będzie krwawa,
 Strzałę tę utkwię w podłej piersi wroga!,

Twój włos zboczony na oczach mi stawa,
 Będziesz pomszczony, jak Bóg jest na niebie,
 Wszystek lud z grozą powstanie za ciebie.
 A męka twoja na wieki zasłynie.
 Ona wolności przyspieszy godzinę —
 Krew strumieniami z naszych gór popłynie,
 A ja powstania chorągiew rozwinę.
 Będzie pomszczona twoja głowa siwa,
 Lecz mów mi, starcze, gdzie syn twój przebywa?
 — „Znasz górę Fajgel najwyższą od wschodu,
 Częstoś tam, pomnę, ścigał dzikie kozy,
 I jam tam bywał z mym łukiem za młodu,
 Znam wszystkie przejścia, znam wszystkie wąwozy,
 Tam syn mój czeka — aż go wola moja
 Przywoła z tamtąd do miecza — lub pola.“
 — „Dobrze „rzekł Wilhelm“ Gemmi pójdiesz w drogę,
 Znasz górę Fajgel — dąż do niej noc całą —
 Czas ci być mężem — zaprzyj w piersiach trwożę,
 A jeśli zginiesz, okryjesz się chwałą.
 Niechaj Cię zemsta do walki ośmiela,
 Tam w grocie spotkasz mego przyjaciela,
 Daj mu ten sztylet — on wie co to znaczy,
 Nową mu zbrodnię opowiedz tyrana
 Niechaj się jednak nie poda rozpaczy
 Choć to okropna niezgojona rana!
 Powiedz że Wilhelm wziął już łuk w swe dłonie
 I że niedługo stós w górach zapłonie.“



Gdy skończył, powstał — wziął za rękę syna
 By go namaścić do świętej ofiary
 Tu go na prochu pradziadów zaklina
 By był ostrożny — swoje mu zamiary
 Odkrywa wszystkie — utwierdza go w cnocie
 I każe przysiądz nienawiść despotie.
 Gemmi kij bierze okuty na końcu
 Którym w śród lodów wesprze jego kroki,
 Drogę swą będzie kierować po słońcu,
 Z uwagą patrzy na ciemne obłoki,
 Co się wieszają na Fajgielu szczycie
 Jakby płaszczy nocy, na niebios błękitcie.
 Klara się także szykuje do drogi.
 Dziadek z ochotą na prośby przystaje.
 Edma synowi udziela przestrogi
 Kosz z zapasami i winem podaje
 Gemmi na głowę wstawia go ochoczy
 I dumny śmiały z Klarą w góry kroczy.
 Tell skórą wilczą, okrył swoją głowę,
 Na czoło zęby potwory spadają,
 Niedźwiedzia łapa kryje nóg połowę
 Stalowe strzały w sajdaku brykają,
 A łuk ów straszny trzyma w silnej dłoni
 Co nigdy strzała zeń próżno nie dzwoni.
 — „Żegnam Cię Edmo „wyrzekł Tell do żony,
 Uczcij w swym gościu, przyjaźń i cierpienia
 Niech znajdzie pokój jego włos zbielony
 W domu tymczasem niech się nic nie zmienia.
 Lecz milcz kobieto! jak ta ściana domu,
 O mej podróży niemów nic nikomu.“

I wyszedł z chaty ku Schwitza krainie. —
 Klara i Gemmi szli nad rzeki brzegiem,
 Co tak swobodna, tak wspaniała płynie,
 A w spadkach pianą okryta jak śniegiem.
 Stary ich rybak przewozi przez rzekę
 I Boga skrycie poleca w opiekę. —
 Dalej Aldorfu błyszczą stałą wody,
 W ramy oprawne, zielonych gór cieniem,
 Strojne we wszystkie bogactwa przyrody.
 Drogich ziół wonią — rzadkich ptaków pieniem.
 Miła to podróż przy kochanki łonie,
 Na której licu cudna piękność płonie.
 Dłoń w dłoni razem przebyli równiny,
 I już się w dzikie zapuścili góry,
 W których mech tylko rośnie w szparach siwy,
 I świadczy jeszcze o życiu natury.
 A człowiek tylko jak gość nie proszony,
 Odwiedza z łukiem tych dzikich gór strony.
 Alpejski orzeł tam gniazdo zakłada
 Lub hyża gemza przesadza wąwozy,
 Lawina z trzaskiem od skały odpada
 Gdy ją poruszy stopa dzikiej kozy. —
 Księżyc już złocił wysokich gór śniegi
 Gdy dzieci przyszły nad Fajgielu brzegi.
 Lecz cóż im wskaże gdzie Malktal przebywa?
 W tym nowym świecie zamarzłej natury?
 Lecz Gemmi światło w dali odkrywa
 I dym co słupem wzbija się pod chmury.
 Jak kryształ czysta łąza błyska na twarzy
 A w piersi radość z nadzieją się żarzy.

Krok pospieszyli — dech w sobie wstrzymali.
 W jaskini płomień wznosił się wspaniale,
 Przy nim Malktala śpiącego poznali,
 Skórą okryty spoczywał na skale,
 A pies kudłaty ogrzewał mu nogi,
 Niedźwiedziom — dzikom — nieprzyjacieli srogi.
 Groźnie zawarczał — Malktal uniósł głowy,
 Siekierę chwycił — i w takiej postawie
 Czekał do walki z wrogami gotowy,
 A twarz nie była przystępna obawie.
 Lecz w tejże chwili — Klara, córka miła
 Z płaczem się w jego objęcia rzuciła. —
 Malktal siekierę odrzucił na stronę
 I Klarę cisnął do piersi ze drzeniem.
 Ręką ocierał jej lica spocone
 Blade zmienione cierpieniem,
 Gemmego porwał w swoje silne dłonie
 I wspólnie tulił na bijącym łonie.
 A Klara ciągle łyży leje obficie.
 Chciałaby mówić, lecz łkania nie dają.
 — „Cóż to na Boga! powiedz moje dziecie
 Czy jakie nowe nieszczęścia czekają!? —
 — „Czy nowe gwałty?“ — Gemmi w ów czas rzecze,
 — „Uzbrój się w męstwo szlachetny człowiecze,
 Bo wielkiej zbrodni usłyszysz wyznanie.
 Krew w piersiach skrzepnie, od mojej powieści,
 Głęboko twoje serce nią rozranię,
 Lecz niech nadzieja zemsty cię popieści.
 Ojciec mój sztylet przysyła Ci w darze
 I być gotowym do walki wam każe.

Gesler wylupił twemu ojcu oczy....!“

— „A tyran żyje!“ — rzekł Malktal ze zgrozą.

O zemsta moja! krew jego wytoczy,

Jego się oczy także nie otworzą.

Żegnam was dzieci, wracajcie do domu

Ja idę pomścić ojca mego sromu“

— „O nie Malktalu“ — rzekł Gemmi powoli.

„Gniew wielkim czynom rozwagę odbiera,

Wiem że ta rana okropnie cię boli...

Ojciec do Schwitza poszedł do Wenera,

Ty w Unterweldu i Stantzu krainie

Masz swych przyjaciół — krew wkrótce popłynie.

Zbierz wszystkich swoich, i w Grutti jaskini

Czekaj Wenera i ojca mego.

A on z Wenerem zadość Ci uczyni

Wspólnie skarżecie — tyrana wspólnego.“

Bolesna radość zdobi twarz Malktala

Z roskoszą myśli Wilhelma pochwała.

— „Idź chłopcze — jutro dwieście stanie męża,

Gotowych umrzeć za kraju swobody —

O! my napróżno nie wzniesiem oręża!

Jutro to! jutro! będą nasze gody!

Na których Stantzu zatkniemy znamiona,

Których i piekło samo nie pokona.

O jakże rad bym spotkać oko w oko

Ludzkości wroga — Helwecyi despotę,

Me ręce jego ubroczyć posoką

I zemścić ojca mego ślepotę.

Aldorfu rynek zrosić krwią tyranów

I ziemię drogą uwolnić z kajdanów.

— „Słuchaj mój chłopczel! słuchaj drogi Gemmi,
 Po mej ojczyźnie — cnocie i wolności
 Klara mym skarbem największym na ziemi
 Tego mi skarbu nie jeden zazdrości,
 Tobie go daję — a gdy legnę w boju
 Ty ją uczynisz szczęśliwą w pokoju!“ —
 — „O tak uczynię!“ rzekł Gemmi z zapalem“
 Chyba że padnę w walce przy twym boku
 Już dawno serce moje jej oddałem
 Ale czekałem rodziców wyroku.“
 Klara z uśmiechem podaje mu dłońie
 A Gemmi dumny ciśnie ją do siebie.
 Niewinny ogień w sercach dzieci płonie
 Anieli miłość taką czują w niebie. —
 Uściskiem silnym Malktal żegna dzieci.
 Za łuk porywa i do Stantzu dąży.
 Słońce tymczasem już z południa świeci
 Jaskrawem brzaskiem po przepaściach krąży
 Ciemne się wiją po sklepieniu chmury
 I czarnym płaszczem otaczają góry.
 Dziwna natura w tych górskich krainach,
 Na dole wiosna i kwiaty woń sieją —
 Lody zmarznęte na skały wyżynach
 I zimne wiatry od północy wieją.
 Tak jak na świecie — obok zbrodni cnota —
 Pycha błyszcząca i biała prostota.
 Piękny to widok, gdy światła promienie
 Swym blaskim złocą kwieciste doliny.
 Śnieg w płatkach lecąc tworzy nowe cienie.
 Słońce jak oko płaczącej dziewczyny

Choć łąza w nim stoi — choć chmurna jagoda
 Jednak tam blisko przegląda pogoda.
 Śnieg okrył wszystkie znane ścieżki w górach,
 Zimny wiatr powstał od strony północy,
 Zamglone słońce ukryło się w chmurach,
 Dzień przybrał wszystkie fenomeny nocy
 A burza rycząc z gór zwała lawiny
 Te z trzaskiem lecą na łono doliny.
 Dzieci szukają schronienia pod skałą
 Lecz zamieć niesie grube śniegu liście,
 Klara je zgarnia swą ręką skośniąłą
 Wkrótce zawiane do jaskini wniście.
 I to schronienie odbiera im burza
 A niebo coraz więcej się zachmurza.
 Nieznać gdzie przepaść swą paszczę otwiera.
 Kijem więc Gemmi próbuje wprzód drogi,
 Klara na jego rękę się opiera
 A twarz jej zdobi jakiś uśmiech błogi
 Co jak światełko pośród ciemnej nocy
 Cieszy wędrowca gdy je zdala zoczy. —
 Na bystry strumień natrafili w biegu,
 Śnieg choć weń padał, topił tejże chwili,
 Odtąd więc jego trzymali się brzegu
 W jego zakrętach tak jak on bładzili.
 Aż pod wieś Erfeld niespodzianie wyszli
 Przy której Reuss swoją wstęgę kryśli.
 O w tém już miejscu Gemmi nieraz bywał,
 Kanton mu Ury znany doskonale; —
 Dojść do Aldorfu w nocy się spodziewał,
 A księżyc właśnie wznosił się wspaniale,

I gdyby słońce zabłysło w tej chwili
Jużby z gór Aldorf w dali zobaczyli.

~~~~~

Cóż to za postać prosto ku nim zmierza  
Cała pokryta skorupą śniegową? —  
Miecz zakrzywiony wskazuje żołnierza.  
Pióro mu strósie obwisło nad głową.  
Szytlet wenecki pływa mu u boku  
A groza jakaś i w twarzy i oku.  
— „Jestem myśliwy, zbłądziłem w mój drodze,  
Wskażcie mi, proszę, kędy Aldorf leży?  
Ja was sowicie za to wynagrodzę  
Jestem z orszaku Geslera żołnierzy.“  
— „Właśnie tam idziem“ — rzekł chłopiec bez trwogi  
„Wesprzeć w potrzebie należy i wrogi“  
Żołnierz zdziwiony spojrzał na chłopczykę.  
— „Dla czego wrogiem nazywasz mnie mały,  
Jaką do tego dałem Ci przyczynę?“  
A Gemmi ręką pokazał na skały  
I rzekł: — „W tych skałach mieszka ród górali  
Co wolność świętą nad wszystko kochali...  
I zamilkł. — żołnierz znów doń mówi „bracie  
Gdzie wy mieszkacie, jak się nazywacie?“  
— „Ojciec mój rólник gdzie te skały sterczą,  
Tam w cnocie żyjąc, ma swoje siedlisko.“  
— „Ty o cnocie mówisz“ rzekł strzelec szyderczo  
Lecz w twoim wieku zkad znasz jej nazwisko?“  
— „To słowo pierwsze „rzekł Gemmi z zapalem“  
Które dziecięciem ucząc się bakałem.“

- „A słowa tego znaczenie Ci znane?  
 — „Tak się spodziewam“ rzecze Gemmi śmieie.  
 — „Wytlómacz mi go, o dziecię kochane“  
 — „Kochaj swych braci — gnęb' ciemężyciele,  
 Te dwie nauki miej tylko w pamięci,  
 A imię twoje cnotą się uświęci.“  
 — „Któż jest Ciemężcą?“ zapyta myśliwy.  
 — „Gesler, kat braci — i mojego kraju.“ —  
 — „Coś wyrzekł chłopcze — coś rzekł nieszcześliwy  
 Gesler darować niema we zwyczaj.“  
 Tymczasem bramy Aldorfu ujrzeni.  
 A tu myśliwy mówił jeszcze śmieli.  
 — „Widzisz te włócznie błyszczące na wierzy,  
 Sto utkwii w tobie na moje skinienie,  
 Kto jest wasz ojciec? — mów gdzie dom wasz leży?  
 Inaczéj ciężkie czeka cię więzienie.“ —  
 — „Kto jest mój ojciec — on sam Ci to powie  
 Kiedy swój sztylet we krwi twojej spławi“  
 Warty zdumione stanęły w milczeniu,  
 — „Wziąć mi te dzieci „rzekł Gesler“ w kajdany,  
 Niechaj wyroku czekają w więzieniu,  
 Kto o nich spyta, niech będzie pojmany.  
 Dzieci niech siedzą w ciemnicy o głodzie,  
 O muszę zniszczyć bunt w samym zarodzie.“  
 Wyrok spełniono — dzieci mają w myśl  
 By po nich czasem rodzice nie przyszli.  
 Sen sprawiedliwych zamknął ich żrenice,  
 Choć nad ich głową topór podniesiony.  
 Lecz nie tak serce Geslera zbrodnicze  
 Biję spokojnie — chociaż otoczony

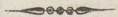


Tłuszczą służalców — na każde skinienie  
 Gotowych nawet poświęcić sumienie.  
 Snu go ochota zupełnie odpadła,  
 Wszędzie bunt widział — wszędzie widok kaźni  
 Jakieś skrwawione przyszłości widziadła  
 Snuły się w chory jego wyobraźni.  
 Duma z bojaźnią połączone razem  
 Ciągłe powstania straszyły obrazem,  
 — „Ten lud nikczemny cały jest mym wrogiem,  
 Lecz hersztów jego z pod ziemi dostanę!  
 Dumne ich głowy spadną przed mym progiem,  
 Niech w sto lat kraj ten niezgoi ranę  
 Jaką mu miecz mój w jednej chwili zada.  
 Niech ginie motłoch, lub na twarz upada,  
 Przed wizerunkiem mojego obrazu.  
 Przyzwać mi tutaj natychmiast Sarnema.“  
 — Wyszedł Sarnem, w twarzy poznałeś od razu  
 Zbrodnia, któremu nic świętego niema.  
 Prawie do ziemi schylił swoje czoło,  
 I drżąc z bojaźni spoglądał w około.  
 Gesler ponuro utkwiał w nim źrenice,  
 Jak bazyliszek gdy krew ofiar pije;  
 Jakby chciał odkryć serca tajemnice,  
 Czyli w ich głębiach spisek się nie kryje.  
 — „Słuchaj Sarnemie — gdy zaświecą zorze  
 Na rynku miasta każ wbić słup wysoki  
 Tam czapkę moję zawieszisz w pokorze  
 I śledź każdego z przechodzących kroki.  
 — „Niech bez wyjątku odkrywają głowy,  
 A kto się wzbroni, natychmiast w okowy.

Ty zaś uważaj na najmniejszy opór  
 Kępój łańcuchem szmery buntownicze.  
 A słowo śmielsze niechaj przetnie topór.  
 Pilnie śledź wszystkich przechodzących lice,  
 Nieżałój kajdan ani krwi przelewu,  
 W przeciwnym razie bój się mego gniewu“!  
 A nawet męstwa gdy dostrzeżesz cienie  
 Już jest występki; bo lud niewolniczy  
 Drzeć tylko winien na pańskie skinienie,  
 Ukruć więc zaraz ten zapał zbrodniczy  
 I gnij do ziemi karki niewolników.  
 Lecz żadnych szemrań — lecz żadnych okrzyków.  
 Familią dzieci wyszukać koniecznie,  
 Młode to wilki z gniazda wypuszczone,  
 Z którymi igrać nie zawsze bezpiecznie;  
 Bo przykładami na łup zaprawione. —  
 Kędy ich gniazdo? — niech wiem za godzinę!  
 Trzeba wypłenić tę całą rodzinę.“  
 — „Wszystko się stanie, jak kazałeś panie,  
 Sto śpiegów wyszłę w bliskie okolice,  
 Gemza przed nimi nie jest skryć się w stanie,  
 Wkrótce dojdziemy kto są ich rodzice.  
 I krępowanych przyprowadzim Tobie  
 Żeby uczcili władcę w twej osobie“  
 Lecz Bóg ma w swojej opiece dom Tella  
 Szpieg żaden nie znał gdzie się chata kryła  
 Puszcząć się w góry niebardzo jest snadnie.  
 A choćby wdarł się, to zaraz i spadnie.  
 Tam matka tylko siedząc przy kądzieli  
 Z starym Malktalem niespokojność dzieli. —



Lampka się mała całą noc świeciła.  
A niespokojność z obawą złączona  
Głębokie ślady na twarzy wyrzyła.  
Bo biedna matka poczuciem dręczona,  
Gdy wiatr po oknie ciśnie śniegu płaty,  
Bieży z nadzieją do drzwi swojej chaty.  
A stary Malktal choć drzy o swe dziecko  
Jednak nadziei dodaje kobiecie. —  
Straszne to chwile, czekanie w obawie,  
Myśl w ów czas nasza na turtury łożu  
Piekielne męki wytrzymuje prawie  
Choć wszystkie jakby kropla wody w morzu,  
Nikną nieznane na głębinie duszy  
Aż czas je znowu swym szronem popruszy.  
Wielki kto cierpi nie szemrząc do końca,  
I w ciągłej walce z cierpieniem się wodzi,  
Wśród ciemnej burzy dopatruje słońca  
Łodzi ochronnej w ryczącej powodzi.  
Bo wielkość nasza jest w duszy głęboko.



## II.

Zorze na niebie jeszcze nie płonęły  
Kiedy Tell przebył Schwitzu stare mury,  
Przy nich na straży żołdacy zasnęli,  
On tylko rzucił na nich wzrok ponury  
I szedł do znany mu chaty Wernera  
Z którym go przyjaźń dawna łączy szczerą.  
Trzema sposoby zapukał do chaty.  
Dwóch się brytanów rozległo szczekanie,  
Skrzypiły wrzeczadze — i bez czasu straty  
Werner na rozcież otworzył mieszkanie,  
Dębową głównią trzymał zapaloną  
Która czerwoną odbijała łoną. —

— „Wroga czy brata mam witać w mym progu?“

— „Brata, Wilhelma! — jak się masz Wernerze?“

— „Toś ty o Tellu! — niech cześć będzie Bogu  
Że Cię sprowadza — witam! witam szczerze.“

I twarde dłonie ścisły się wzajemnie,

I bratnie serca zabiły tajemnie. —

I przed ogniskiem, zasiedli na ławie.

Psy im się łaszac pokładły przy nogach,



A Wilhelm zaczął rzecz w te słowa prawić:

— „Wernerze! — już czas zemścić się na wrogach,  
Już czas ojczyźnie zdjąć sromotne pęta,  
Do tego wzywa nas powinność święta.

— „Śmierć, lub zwycięstwo! to jest nasze hasło,  
Ono nam będzie przewodniczyć w boju.

Dopukąd w piersiach męstwo nie wygasło

W ogniu zatknijmy chorągiew pokoju. —

Już czas rozdmuchać zarzewie w popiele,  
Broń Ci przynoszę — dziel nią przyjaciele!“

To rzekłszy; rzuca na ziemię brzemiona  
Mieczów, strzał ostrych, i włóczni bez liku.

Broń przez kapłana skrycie poświęcona.

Werner radości nie tłumi okrzyku

Lecz w krótkce mówi — „ukryjmy skarb drogi

Aby go czasem nie dostrzegły wrogi.

Bo dom nasz nie jest przybytek święcony,

Gdy obywatel jest sługą tyrana.

Dom w każdej chwili może być zgwałcony,

My uwięzieni — broń nasza zabrana.

A więc ją zaraz zabierzmy pospołu,

Wspólnie schowajmy do skrytego dołu.“

A kiedy broń ich już była schowana

Werner drzwi zamknął — ognisko zalewa.

Tell nową zbrodnią powiada tyrana

Męstwo w Wernerze słowami zagrzewa:

— „W tej chwili“ — mówi „pewnie Malktal młody

W Grutti nas czeka z chorągwią swobody“ —

A Werner pilnie każdy wyraz słucha,

Wszystko roztrząsa — i pochwała skrycie,

Nareszcie głośną radością wybucha.

— „Czas jest zacząć! czas poświęcić życie!

Ja jużem gotów, a więc w imię Boże

Zacznijmy dzieło, a On nam pomoże!“

— Jest jakaś wielka, nieprzeparta siła,

Której najśmielsze ulegną rozumy,

Która największe dzieła potworzyła

A którą trafem zowią zwykle tłumy.

Lecz traf — jest tylko cud wielki Jechowy

Którym nawiedza ukochane głowy.

Traf dziwnie pomógł Helwecyi swobodzie,

Dzień się zaciemnił — grad — zamieć ze śniegu

W moment powstały w tym cudnym ogrodzie,

Zaspy się wzniosły na Aldorfu brzegu.

A Werner z Tellem korzystając z chwili

Broń na tyrana, braciom roznosili.

I odbierając przysięgę wierności

Schwitz uzbrajali w imię chrześcijan Boga,

Siejąc wśród ludu nasiona wolności,

Głosili wyrok zagłady na wroga.

A lud gotowy czekał tylko znaków

Aby uderzyć w piersi Austryaków.

Wilhelm już został tylko przy swej broni

Werner na jednej włóczni się opiera.

Słońce już znikło w wód Aldorfu toni,

Kiedy wrócili do chaty Wernera.

Chwilę spoczęli — Werner wziął kij kuty,

I spieszenie poszli do jaskini Grutti.

Na ścieszkach leży śniegu warstwa spora,

Wiatr mroźny z gradem po twarzy ich biją



Nareszcie przyszli nad brzegi jeziora  
 O rafy z hukiem fale wściekle wyją  
 I burza ryczy, a spienione wały  
 Groźne, huczące, tłuką się o skały.  
 A mała łódka jakby liść olszyny,  
 Tańczy na fali, w konwulsyjnym ruchu;  
 Jak w tańcu Vita hiszpańskie dziewczyny  
 Mocno przykuta na silnym łańcuchu.  
 I któż w tej chwili powierzy jej zdrowie?  
 — Kto ma cel wielki: mąż dzielny odpowie.  
 — „Malktal tam czeka rzekł Wilhelm powoli“  
 „Ojczyzna czeka Wernerze! — więc dalej!  
 Może jezioro Bóg przebyć pozwoli  
 Może popłyniem na wzburzonej fali.  
 Wolność! to świętość! święta nasza droga!  
 Do wioseł bracie! — płynmy w imię Boga.“  
 I wyprężona lina wnet przecięta,  
 Wilhelm już w łodzi — Werner tuż przy boku.  
 A łódź bałwanem na głąb odepchnięta  
 Sto łokci przeszła w jednym tylko skoku.  
 Bohatér w górę podnosi swe dłonie  
 A lice jego boskiem światłem płonie.  
 Bóg widział serc tych szlachetne zamiary  
 I dłoń wyciągnął nad wzburzone wały  
 I błogosławił dzieciom wielkiej wiary.  
 Fale ucichły, i wiatry ustały.  
 A Tella lice łąza skrapia wzruszenia,  
 Jest to łąza święta — łąza dziękczynienia.  
 Groźne jezioro przebyli wśród ciszy,  
 Już są na brzegu — do jaskini spieszą.

Malktal z radością odgłosy ich słyszy  
 A one błogo jego serce cieszą;  
 I rozrzewniony rzuca się na Tella  
 I z jękiem ściska brata, przyjaciela.  
 Długo ich dłonie z sobą się ściskają  
 Idą w ciemności ku znajomej jamie,  
 Z środka kamieniem wnijsście zawalają.  
 I razem siadłszy na skały odłamie  
 Swoje cierpienia odrzuciwszy z dala  
 Wilhelm w te słowa zaczął do Malktala:  
 — „Ojciec twój żyje, jest pod moją strzechą,  
 Niech ból twój zmilknie przed głosem ojczyzny,  
 „Niech krew przelana będzie Ci pociechą,  
 Za wrogów zbrodnie — Ojca twego blizny,  
 Za jęki z więzień i przekleństwa matek  
 Śmiało poświęćmy naszych sił ostatek.  
 Werner już w Schwitzu ma dwustu rycerzy,  
 Gotowych umrzeć w wolności obronie.  
 Każdy w zwycięstwo nad wrogami wierzy,  
 Serce ich świętym ogniem swobód płonie.  
 Broń już rozdana i swoją też mieli  
 Więc w Schwitzu liczym dwustu przyjacieli.  
 Uryk i Aldorf pod boki tyrana  
 Gdzie mocny zamek od zemsty go chroni,  
 Tam głębiej święta iskra przechowana  
 Lecz i tam naród już gotów do broni,  
 A choć Geslera ze drzeniem wspomina  
 Jednak mu droga wolności godzina. —  
 Po wsiach pobliskich mam stu dzielnych męży,  
 Miłość wolności, i męstwo w nich płonie,



Na czele takich, kogóż nie zwycięży?!  
 Szlachetne serca! i waleczne dłonie!  
 A w Unterwaldzie, coś zrobił Malktalu,  
 Powiedz czy lud już gotowy do balu?“  
 — „O któż nie gotów walczyć za ojczyznę,  
 Któż za nią poledz nie pragnie z zapalem.  
 — Mąż dumny będzie, gdy poniesie bliznę,  
 Bracia! tam starce! tam dzieci widziałem!  
 Którym łza w oku; krew na licu wrzała  
 A pierś miłością poświęceń połała.  
 Każdy chce walczyć, i stary i młody,  
 Kobiety pójdą, — i mnichy klasztorne  
 Z ochotą legną za kraju swobody,  
 I razem pieśni zanucają nieszporne,  
 Razem wykopią dla niewoli groby  
 Lub razem wdzieją odzienie żałoby.  
 Stu pięćdziesięciu wodzem mnie obrało,  
 Co jak tygrysy krwi wrogów spragnieni.  
 Dla których zemsty zawsze będzie mało  
 Którzy z radością legną dla swej ziemi.  
 Nie tracąc chwili uderzmy na wroga,  
 Wszak tarczą naszą mamy swobód Boga.  
 — „O nie! „rzekł Werner“ jeszcze nie w téj chwili  
 Będziemy mogli uderzyć w tyrana,  
 Choć byśmy wielkie dzieła uczynili,  
 Krew nasza próżno może być wylana  
 Wszak nasze siły, jeszcze nie skupione  
 We trzech Kantonach z dala rozrzucone.  
 Łańcuch twierdz mocnych, kraj nasz w więzach trzyma,  
 A kolos Rzeszy, jak hydra stógłowa

Wystąpi z mieczem potęgi olbrzyma,  
 Liczne posiłki sprowadzić gotowa;  
 Co góry nasze obsiadą jak kruki,  
 I cóż przeciw nim znaczą nasze łuki?  
 Nie tylko nasze małe trzy Kantony,  
 Potwórnój Rzeszy ciśnie ogon smoczy,  
 Niechaj w Lucernie odezwą się dzwony!  
 Niech Zuryk swoją chorągiew roztoczy,  
 Niechaj mieszkańcy gór Zuku, Glaryku,  
 Z Apentzelami razem staną w szyku.  
 I w jednej chwili twierdze obleżone.  
 I nim posiłki od Rzeszy nadpłyną  
 Geslera hufce będą zwyciężone.  
 Mocni jednością, naznaczmy godzinę,  
 W której w śród kraju powstań błysną łuny,  
 Wspólnymi siły uderzmy w godzinę,  
 Wszystkie wezwijmy do walki Kantony.  
 A zaczem Cezar przyśle nowe pęta;  
 Na górach naszych wzrośnie wolność święta:“ —  
 Tell czoło zmarszczył i te mówił słowa:  
 — „Dzielnyś Malktalu z swém zuchwałém męstwem;  
 I ty Wernerze — twa rozważna głowa,  
 Kraj może zbawić wolności zwycięstwem.  
 Lecz zbyt ni pospiech — jak zbyt ni rozwaga  
 Nigdy stanowczo czynom nie pomaga,  
 Biada zamysłom — które by dojrzały,  
 Długiego czasu, wielu trzeba ludzi,  
 Często wypadek choć na pozór mały  
 Czujność we wrogach niespodzianie budzi,  
 Najmędrsze plany w oka mgnieniu zwali



I dzieło swobód na długo oddali.“  
 Wszak tam gdzie Chrystus sam wybierał męża,  
 Siejąc nasiona przyszedłego żywota  
 Znalazł się Judasz — w piersi żywił węże  
 Co sprzedął Pana za marną garść złota.  
 A w tylu miastach i wsi tylu rzędzie  
 Jednegoż nawet Judasza nie będzie?  
 Czas już zaczynać! — słuchaj mych planów:  
 Unterwald i Schwitz do boju gotowe  
 Gotowe zruć już pęta tyranów  
 I podnieść w jarzmie przyciśniętą głowę.  
 Trzystu piędziesiąt tam stanie od razu  
 Ci się zgromadzą na pustym smętarzu.  
 I niech czekają, aż koło mej chaty  
 Zobaczą płomień, kiedy stós zapale.  
 Wtenczas bez czasu by najmniejszej straty  
 Niech do Aldorfu pospieszą w zapale.  
 Ty z Schwiteziany uderzysz na wały;  
 Ty wśród grodu w prowadź chufiec cały  
 „Imię wolności niech dzwoni w okrzyku,  
 Niech tkwi na rynku, chorągiew czerwona.  
 Ja tam się znajdę z mężami Uryku  
 I nasza siła wspólnie połączona  
 Na basztach zatknie wolności znamiona.  
 Ja idę zaraz do wsi Urzeranu\*)  
 Tam kędy Aar i Tesse spadają  
 Fürsta wyprawię w skały Maderanu  
 Kędy Ren i Ron swe źródłiska mają.

---

\*) W Kantonie Zuryk.

Tam stu walecznych, niecierpliwie czeka  
 Ażeby walczyć za godność człowieka.  
 Czy zgoda na to? „zgoda“ rzekli oba,  
 Werner spokojny, rozważny, wspaniały,  
 Malktal ognisty, wielkiem mu jest doba  
 Co jeszcze dzieli od godziny chwały.  
 Ręk uściśnienie było pożegnanie  
 Ono za wszystkie przysięgi im stanie,  
 Malktal do Stantzu z pospiechem powraca,  
 W jeziora wody wiosła uderzyły;  
 Werner swą drogę do Schwitzu obraca  
 Tell do Aldorfu spieszy ile siły,  
 By Fürst waleczny, był gotów do drogi;  
 I chaty swojej rad odwiedzić progi.  
 Słońce już wyszło z za szczytu Fajgelu  
 Gdy Wilhelm bramy Aldorfu przechodził.  
 Na rynku zastał tłumy ludzi wielu,  
 Długo zdumiony okiem po nich wodził.  
 Lud szedł w pokłonach — z hańbiony — z tyrany,  
 Aż ujrzał w rynku pal w środku w kopany,  
 A na nim czapka połyska od złota.  
 Żołnierze zbrojni, przechodzą w około —  
 Przed nią pokłony wybija chołota.  
 Do saméj ziemi chyląc swoje czoło  
 Włosem proch zmiata — przed tym władzcy znakiem  
 A w koło Sarnem z siepaczy orszakiem.  
 Tell dumnie czapkę poprawił na skroni.  
 Wzgardą i zemstą w piersi krew zawrzała.  
 Staął oparty na swej dzielny broni  
 Dłoń mimowolnie w kołczanie szukała.



Lecz myśl mu widać, przyszła raptem nowa  
 Bo już chciał odejść, nie rzekłszy i słowa.  
 Jak dąb wśród zborza, gdy kłosa wiatr schyli  
 Tell dumnie stanął z podniesioną głową.  
 Sarnem go dojrzał — i w tej samej chwili  
 Leci do niego — choć w duszy drzy skrycie,  
 — „Ktoś jest człowieku? — czyliż ci już życie,  
 Obrzydło tyle, że chcesz jego końca?  
 Czyliż turtury nie ciebie nie straszą  
 Któreś zasłużył — za te buntu znaki?  
 Ktoś niewolniku — mów mi, ktoś ty taki!“  
 Co śmiesz nie pełnić Geslera rozkazu?  
 I przed tym znakiem, najwyższej potęgi  
 Czołoś nie schylił, ani nawet razu.  
 Pokłon natychmiast! — lub w ciasne popregi  
 Każe ja ująć twe żelazne ręce;  
 I życie swoje skończysz w turtur męce.  
 Czyż Ci nie znana jest wola Geslera?“  
 — „Była nieznana, lecz się jej nie dziwię,  
 Że dumę władzcy, tak głupio wywiera,  
 Że podłych gniece — odrzekł Tell wzgardliwie.“  
 — „Można mieć wzgardy dość, dla tego ludu  
 Który jest zdolny do takiego brudu?  
 By głowę schylał przed czapką człowieka?!  
 Co domnie! Bogu tylko schylam czoło,  
 Lecz człowiek nigdy tego nie doczeka.  
 A chociaż widzę jak lud drzy w około.  
 O ja nie zadrze! — jak tylko przed Bogiem!  
 Niechaj przód zginę, nim klękne przed wrogiem!  
 — „Zuchwały chłopie! krzyknie Sarnem w gniwie“

Drogo przypłacisz swoje charde słowa,  
 Ty chcesz rozdmuchać zastygłe zarzewie  
 Lecz pierwej spadnie twoja pyszna głowa.“  
 Wziąć tego chłopca i zawieść do pana  
 Tam mu mistrz więzień uchyli kolana.“  
 I w jednej chwili spełniono rozkazy.  
 Łuk mu i sajdak wydarto z pospiechem —  
 On dumnie spojrzął na tyle obrazy  
 I szedł spokojnie z bolesnem uśmiechem.  
 A kiedy twierdzi już przekroczył progi  
 W oku mu zabłysł wyraz zemsty srogi.  
 I już jest w zamku — żołnierz drzwi otwiera  
 On skrzepowany wchodzi do komnaty,  
 W której się znalazł wprost tronu Geslera.  
 Tam tyran siedział — w złote przybran szaty.  
 A Tell milczący czeka zapytania  
 A czoła swego, ni trochę nie skłania.  
 Dziwne wrażenie robi na tyranie.  
 Jakieś przeczucie szepce mu do ucha,  
 Że w mocy Tella jego ukaranie,  
 Dla tego Gesler gniewem nie wybucha;  
 Lecz ile może, łagodzi swe słowa  
 Lecz w głębi duszy straszną zemstę chowa.  
 — „Czemuś nie uczcił, mej władzy człowiecze?  
 Powiedz przyczynę — daruję Ci może“  
 — „Czyż ją ty pojdziesz — Tell dumnie odrzecz“  
 „A słowo prawdy czy Ci co pomoże?  
 Serce twe dawno zamknięte dla cnoty,  
 Dusza zwalana zbrodniami despoty.“  
 — „Chcę prawdę nagą usłyszeć od Ciebie,



Naucz mnie cnót tych coś tak dumny niemi“  
 — „Tyranów uczyć! zbyt szanuję siebie,  
 Ale i gardzę groźbami twojami.  
 Prawdę chcesz słyszeć? — twarde są jej słowa,  
 Ale dla Ciebie rzecz to wcale nowa.  
 Słuchaj Geslerze! a jeśli w twém łonie  
 Jeszcze cokolwiek jest ludzkiej natury,  
 Jeśli choć zdziebło cnoty masz w swém łonie  
 Niech Cię ten obraz przerazi ponury.  
 Już miarka twoich przepełniona złości,  
 Niedługo brzęknie godzina wolności!  
 Bóg Ciebie zrobił narzędziem swej kary  
 O! godnieś spełnił posłanictwo twoje  
 Spójrz w gród ten pyszny — w gór naszych obszary,  
 Wszędzie krew tylko — jęki — i rozboje,  
 Szatan to widzi — i klaska Ci w dłonie  
 I w wieniec wgardy obłuczy twe skronie.  
 Na wzrok twój włożył ślepoty zasłone,  
 Serce człowieka zamknął na jęk braci,  
 Zadrzyj Geslerze — bo cienie skrwawione  
 Ofiar twej zbrodni — w okropnej postaci  
 Staną przed tobą w godzinie twej kary  
 By jęk usłyszeć szańbiony poczwary.  
 By wrzód obrzydły, co łono ludzkości  
 Toczy w gangrenie — wyrzucić na smiecie.  
 Wilkom żarłocznym cisną twoje kości.  
 Sęp Ci sumienia usiądzie na grzbiecie,  
 I jak twa zemsta mąk nie była syta  
 Tak on Ci wydrze skrwawione jelita,  
 I włóczyć będzie na szyderstwo świata. —

A człowiek plunie z wzdargą na twe czoło;  
 Gdzież w ów czas będzie siła twój potęgi  
 Gdy Cię śmierć ściśnie w żelazne popręgi.  
 To niedość jeszcze! — tam jest Bóg na niebie  
 Który Cię z gniewem odtrąci w przepaści.  
 Skończyłem, — uderz — pierś moja gotowa  
 Z rozkoszą umrę, gdy kraj mój spodlony.  
 Pół ludu w więzach — a druga połowa  
 Nikczemnie liże twój stron zakrwawiony.“  
 Zdumiał się Gesler na te śmiałe słowa  
 Złość w nim jak para w kotle przyduszona,  
 Wre, kipi zemstą, wybuchnąć gotowa.  
 I szatan na myśl przywodzi mu dzieci  
 Przed parą dniami zamknięte w ciemnicy,  
 Raptem myśl jakaś w głowie mu zaświeci  
 I odplątuje wątek tajemnicy.  
 A gdy porówna ich słowa i czyny,  
 Pewne że z Tella pochodzą rodziny.  
 Dał znak, i Sarnem wychodzi z komnaty.  
 Tell stał spokojnie, czekając wyroku.  
 Gdy w tém swe dzieci spostrzega u kraty,  
 W ten czas łza święta błysła w jego oku  
 I rozrzewniony wyciąga ramiona  
 I z jękiem dzieci przyciska do łona. —  
 Radość zabłysła na Geslera twarzy,  
 Więc w serce ojca cios zemsty wymierzy!  
 Straszna to zemsta! — nad wszystkie wyrazy,  
 Ojciec ją tylko pojmie i rozmierzy;  
 Nieszczęścia w ten czas najcięższe są groty,  
 Gdy widzimy męki drogiej nam istoty:



— „Ty Gemmi tutaj! w więzach! — co to znaczy?!  
 Co ty zawinić mogłeś tyranowi?  
 Klara przy tobie, w postronkach siepaczy!  
 Na miłość nieba! niech mi kto odpowie!?”  
 — „Co się to znaczy — wytłomaczę tobie:  
 Syn twój uchybić śmiał mojej osobie,  
 Czeką go kara okropna — straszliwa,  
 Alem Ci łaskę wyświadczyć gotowy,  
 Nigdy twa próżno, nie brzęknie cięciwa,  
 W stu krokach zdejmiesz strzałą jabłko z głowy  
 Twojego syna, — gdy poradzisz temu,  
 Daruję życie tobie i jemu;  
 A jeśli chybisz, lub nie zechcesz strzelić,  
 Krew zeń wytoczyć każe w tej godzinie.  
 Wybór masz wolny — możesz się weselić  
 Że mnie zwyciężysz i krew nie popłynie.  
 Lud niech podziwia mą dobroć w tém dziele  
 Wszakże od Ciebie żądam tak nie wiele.“  
 — „Srogi potworo! — któreż piekła duchy,  
 Natchły Cię myślą najstraszniejszą w świecie,  
 Odbierz mi życie — każ okuć w łańcuchy,  
 Lecz nie wymagaj bym zabił me dziecko.  
 Słuchaj Geslerze! — podam projekt tobie,  
 Każ mnie zakopać żywcem w ciemnym grobie,  
 Lub każ mi skórę obdzierać powoli,  
 Słomą okręcić i palić me ręce,  
 Może twa zemsta tem się zadowoli,  
 Może dość znajdziesz rozkoszy w mej męce.  
 — „Mój wielki Ojcze! — o mój Ojcze drogi  
 Ty byś miał dla mnie krople twej krwi stracić

Pozwolić by nią cieszyły się wrogi,  
 O któż jest w stanie dosyć ją zapłacić!  
 Śmiało mierz do mnie, mój ojciec kochany,  
 A Bóg mi mówi że wyjdę bez rany“ —  
 Tell go przyciskał ze łzami do łona  
 I jęcząc, szeptał — „nie, tak być nie może!  
 — „Ma ręka ma być krwią syna zbroczona,  
 Prędzej mi umrzeć daj sto razy Boże“!  
 — „Dość — „krzyknie Gesler“ — wybieraj zuchwały  
 Śmierć syna w mękach, lub zwycięstwo strzały.“  
 — „Dobrze“ Tell rzecze, a w oku pożary  
 Rzucił na wroga — „wiedźcie mnie do celu“  
 A straż otacza natychmiast ofiary  
 Zgroze na twarzach widać zbirów wielu,  
 Tell syna wiedzie za rękę wśród tłumu  
 Zdaje się władzę utracić rozumu.  
 A lud z litością gromadzi się w koło  
 Lecz skrytą tylko — bo czuje wzrok wroga,  
 Tell dumnie podniósł do nieba swe czoło,  
 Zdaje się błagać o opiekę Boga,  
 Gemmi całuje, ściska ojca dłonie,  
 Ale nadzieja w jego oczach płonie,  
 Z trzech stron żołnierze otaczają metę  
 A gwar stłumiony słyhać pośród ludu,  
 Tu starzec jęczy — tu słyhać kobietę  
 Jak płaczem swoim używa niebios cuda,  
 By niebo ognia zesłało na ziemię  
 I wypłeniło krwawych katów plemię.  
 Sarnem sto kroków wymierza do strzału.  
 Stawia Gemmego — chce mu wiązać oczy,



Lecz ten mu rękę odsuwa pomału  
 Raz jeszcze jeden do ojca poskoczy  
 Sciska dłoń jego — łzy leją widzowie.  
 — „Ojcie jam gotów“ — „stój prosto“ odpowie  
 Wilhelm „lub klękni na jedno kolano,  
 — Tak! tak! mój synu! może raz ostatni  
 Do moich piersi przycisnąć Cię dano.  
 Przyjmij więc uścisk pożegnania bratni,  
 Od Ojca,! kata,! co krew twą przeleje!“  
 — „O nie mój Ojcie! miej w Bogu nadzieję“  
 — „Żegnam cię synu, żegnam mój aniele  
 Bohatér z Ciebie, większy nad wsze słowa.  
 — „Stój prosto Gemmi — czekaj ciosu śmiele,  
 Niechaj nie zadrzy mi trochę twa głowa,  
 Bo jedno drgnienie — jedna zmiana mała,  
 A w skroni twojej utkwi ojca strzała.  
 Boże dobroci! Ty zniesć jesteś w stanie  
 Podobny widok z chałbionej ludzkości!  
 Czyliż piorunów nie wypuścisz panie,  
 I nie ukarzesz tak szatańskiej złości  
 Co śmie urągać Twej władzy Ci w oczy  
 Że ojciec może krew dziecka wytoczy.  
 Boże! Ty nie daj by zbrodnia dojrzała  
 O czuję siły! — wieczna Tobie chwała!  
 Gdzie huk? — me strzały? — dajcie kołczan z niemi!  
 Łuk jego własny i strzałę podano,  
 Tell ją spróbował — i złamał na ziemi.  
 — „Zła inną dajcie“ chwilę się wachano,  
 Lecz Gesler skinął, podano pęk broni.  
 Tell jedną strzałę wziął do swojej dłoni

A drugą ukrył pod fałdę kaftana.  
 Raz jeszcze syna uściskał z łzą w oku  
 Krwawe spojrzenie rzucił na tyrana  
 Czyż się spodziewał zmienienia wyroku?  
 O nie! on zemście cisnął tyranowi.  
 Łuk swój ogromny unosi do oka,  
 Żelazco strzały połyska od słońca.  
 Lecz go opuszcza jeszcze raz z wysoka,  
 Znów raptem wznosi, jakby pragnął końca  
 Okropnych turtur — co je zrosi pewnie  
 Gwar ludu słyhać w koło głośno, gniewnie.  
 Bładość na twarzach — znów milczenie w koło  
 Tell łuk znów uniósł — łza mu cel zakrywa,  
 Sam Gemmi tylko spogląda wesoło,  
 Myślą się swoją od ziemi odrywa  
 I wzrok dziecięcy do nieba podnosi,  
 I o zwycięstwo ojcu swemu prosi.  
 W tem strzała wertka powietrze przecina  
 I jabłko z głowy unosi przeszyte,  
 Wilhelm z okrzykiem podskoczył do syna,  
 Uczucie ojca wśród tłumu odbite,  
 W tysiąc okrzyków zachuczy wesela,  
 Każdy pod niebo wynosi strzał Tella.  
 Walka to była nad siły człowieka  
 A choć jej Wilhelm dotrzymał do końca  
 Lecz krew mu raptem ze twarzy ucieka,  
 Chwieje się teraz szlachetny obrońca,  
 I w ręce syna upada bez siły,  
 Oczy się jego jasną łzą zakryły,  
 Kobiety wodą skrapiają mu skronie,



Mężę go wznoszą na rękach do góry;  
 Geslera tylko oko gniewem płonie,  
 W około rzuca wzrok straszny ponury,  
 Niekontent że los wyrwał mu ofiarę  
 I że krwią Tella niewypełnił czarę.  
 W tém spostrzegł strzałę pod fałdą kaftana.  
 — „Nacoś ją ukrył?“ pyta się zdziwiony.  
 — „Oby nią serce otworzyć tyrana  
 Gdyby strzał pierwszy mój był zawiedziony,  
 Gdybym był chybił i przeszył skroń syna  
 Ostatnia twoja biła by godzina.“  
 — „Sarnem! kajdany najcięższe na nogi  
 Okuć zuchwalca i wrzucić do wieży“  
 Wśród ludu okrzyk rozległ się złowrogi  
 Każdy do domu rozjątrzony bieży.  
 Lecz Sarnem czuwa — śledzi buntu znaków  
 Liczne patrole tworzy z Austryaków  
 I z bronią miasto przebiegać rozkaże.  
 A Gemmi od nóg ojca oderwany  
 Napróżno z łzami błaga wrogów strażę  
 Aby był z ojcem razem okowany.  
 Straż go odtrąca bagnetem zuchwale  
 A w miasto spieszy oddział po oddziale.  
 Gesler drży cały od gniewu i trwogi,  
 Strażami wały do koła obsadza,  
 W każdej gromadzie widzi swoje wrogi.  
 Więc coraz więcej żołnierza sprowadza,  
 By pod ich strażą zasypiał spokojny.  
 Choć lud do zemsty wystąpił by zbrojny.  
 Gemmi uklęknął, wzniósł ręce do góry,

Z okiem łez pełném, i szlachetnej dumy,  
 Wołał do Boga! „Ty! władzco natury!  
 — „Czyś ludziom serce wziął razem z rozumy?  
 Ze tyran więzić wśród nich się ośmiela  
 Obrońce cnoty i obywatela! —  
 Ludu! jakaż krew w twoich żyłach krąży!...  
 A lud wre w koło jak potok wezbrany,  
 Ale do czynu nikt jeszcze nie dąży.  
 Ogień już tleje, lecz nie rozdmuchany  
 Jeszcze płomieniem w górę nie wybucha  
 Bo niema w tłumie z wyższym celem ducha.  
 Bo tłumy ludu, jak miny prochowe,  
 Pokąd w nie iskra, ognia nie uderzy,  
 Lubo w milczeniu do czynu gotowe  
 Jednak nikt w groźną ich siłę nie wierzy  
 Aż kiedy wzruszną w podstawach opoki  
 I mury twierdzy wyrzucą w obłoki.  
 Lud długo cierpi i dzwiga krzyż męki  
 Krew na ofiarę poświęca swych dzieci.  
 Szemrze w ukryciu — tłumiąc łzy i jęki;  
 Lecz niech mu tylko nadzieja zaświeci  
 Niech go syn kraju, syn krwi i ofiary  
 Głosem potężnym wezwie pod sztandary  
 Na których godła wolności wryte,  
 I sam pierś swoją wystawia na ciosy;  
 W tenczas powstaną tłumy krwi nie syte  
 W pieśń się powstańczą zleją wszystkie głosy,  
 Świat ją powtórzy od krańca do krańca  
 A wszystkie ludy dłoń dadzą do tańca.



Gemmi spotyka Klarę pośród ludu,  
 Włos jej w nieładzie, łza okrywa lice  
 Pot czoło rosi od znoju i trudu  
 A w oczach widać ognia błyskawice.  
 Z płaczem na łono rzuca się kochanka  
 Rękoma szyję oplótlszy w kształt wianka,  
 Gemmi ją z lekka odpycha od siebie:  
 — „O nie czas droga! — nie czas na pieszczoty,  
 — Klaro! nie byłbym dzisiaj godny Ciebie,  
 Gdybym zwłókł chwilę skarania despoty.  
 Spieszę gdzie Malktal przebywa ze swemi  
 By z nim zwyciężyć, lub ledz dla swój ziemi.  
 Ty spiesz do matki, o moja jedyna!  
 Powiedz jej: że syn godny będzie męża,  
 Powiedz że albo już nie ujrzy syna,  
 Lub go zobaczy w zwycięztwie oręża,  
 Że pukąd ziemi i Ojca nie zbawi  
 Putąd przed drogą matką się nie stawi.  
 Żegnam Cię luba — może raz ostatni,  
 Jeżeli legnę w walce za ojczyznę  
 Niech Cię z mą matką łączy związek bratni  
 Nim spólną dla was zagoicie bliznę,  
 A gdy o naszej wspomnienie potrzebie  
 Pomyśl że ległem za kraj mój i ciebie.“  
 To rzekłszy spiesznie oddala się w góry,  
 Nawet ściśnieniem nie pożegna Klary.  
 Na czole jego zbierają się chmury  
 Lecz sercem gotów do świętej ofiary.  
 A Klara łzawo spogląda w te strone  
 W którą jej całe szczęście uniesione,

Spiesz do Tella nieszczęśliwy chaty.  
 Tam dziadek z Matką czekają we trwodze,  
 Niewiedząc jakie już ponieśli straty  
 Ale przecucie dręczy umysł srodze  
 Sam czyn nie tyle ucięży nam serce  
 Ile czyn w przecucia iskierce.  
 Sto razy Edma wybieży przed chatę  
 Sto razy próżno wraca zwiedziona  
 Imaginacyja podwaja jej strate.  
 Wreszcie spostrzega jak Klara zmęczona  
 Z rozpierschłym włosem — w podartej odzieży  
 Sama do chaty bez syna jej bieży.  
 Grom co w tej chwili w pierś matki uderza  
 Sroższy zaprawdę po nad wszystkie słowa.  
 Boleść się taka cyrklem nie rozmierza  
 Boleść się taka wiecznie w sercu chowa.  
 I gdy jej Klara upada w ramiona  
 Ta ją nie w sile przycisnąć do łona.  
 Milczenie — wiek go, dla serca w boleści  
 I tylko słyszać dwóch serc silne bicie  
 Co takie w sobie zdroje uczuć mieści  
 I magnetycznie zatrzymuje życie.  
 Bo w serca biciu, jest tak uczuć wiele  
 Tak wiele myśli i jasnowidzenia  
 Jak boskich natchnień, u Adama w dziele  
 Co z ziemi tworzą niebieskie sklepienia,  
 Skalpel doktora nie zmierzy boleści  
 Jaka się w sercu kobiety pomieści.  
 — „A Gemmi! syn mój!... mów mi w jednym słowie!“  
 — „Żyje i wolny!“ i Klara wśród łkania



Wszystkie wypadki wiadome opowie.  
 Ślepy ja dziadek do piersi przysłania  
 Z uczuciem ciśnie i nareszcie rzecze:  
 — „O dziecko moje! Boskiej Ci opiece  
 Powierzam teraz, wiedźcie mnie do miasta,  
 Tam ślepy stanę wśród rynku i ludu  
 Dziecko mnie wesprze i słaba niewiasta,  
 Krwi nie oszczędzę — ni sił mych — ni trudu.  
 Pokażę bliżny i zaklnę na Boga  
 Moich rodaków; — do zemsty na wroga.  
 Nie płacz kobieto! — precz żale i jęki  
 Tu działać trzeba, i działać w tej chwili  
 Zwleczony moment zwiększy kraju męki  
 Gesler się próżno na zemście nie sili;  
 Odgróзки nie czeze tylko słowa  
 W nich się okropnej zemsty naród chowa.  
 O znam Malktala — on i przyjaciele  
 Dzisiaj przybędą pod Aldorfu ściany!  
 — Pieśń Unterwaldu — pieśń wolności znana,  
 Dziś jeszcze w uchu zabrzączy tyrana.  
 A na jej dźwięki, któż nie stanie z męży?  
 Komóż na sercu nie wypali rany?  
 Wierz mi kobieto! — dziś wolność zwycięży  
 Dziś się zemścimy nad kraju tyrany.  
 Kobiety! ręce! wiedźcie mnie na Boga  
 Niech raz przynajmniej skapę się w krwi wroga,  
 Niechaj ojczyźnie wypłacę dług stary,  
 Niech ślepy starzec nie zdatny do wojny  
 Słowem przynajmniej wezwie do ofiary  
 Lud nasz waleczny; a dotąd spokojny.

Tam przy wolności stanąwszy znamieniu,  
 Każdego starca wezwę po imieniu,  
 Aby uzbrajał swe wnuki i syny,  
 Bo gwiazda swobód już na niebie wschodzi. —  
 Skrwawione dłonie podniosę do góry,  
 Stanę w śród rynku i głosem boleści  
 Wolność! wykrzyknę; wolność! zagrzmią chury  
 A ile tylko Aldorf mężów mieści  
 Wszyscy się stawią pod sztandary chwały,  
 Dziecko — kobieta — mąż — starzec schorzały.  
 Wiedźcie mnie! wiedźcie! ogień pierś mą pali,  
 Może zapożno przybędę na gody,  
 Mało, lat setkę przeżyłem w niewoli,  
 Niechaj przynajmniej przy końcu mej doli  
 Usłyszę słowa wolności gorali  
 I raz odetchnę powietrzem swobody!“ —  
 Edma z łzą w oku, ściska starca dłonie.  
 — „Szlachetny ojcze! jam z tobą gotowa,  
 W tej chwili ruszyć ku kraju obronie;  
 Lecz racz wysłuchać pierwszej mego słowa,  
 A słowo kobiet choć jak plewy tanie,  
 Może w tej chwili czemś ważnem się stanie:  
 Dawno ja, dawno; spostrzegłam szczęśliwa  
 Że mąż mój Wilhelm bohater w narodzie.  
 Że o wolności braci przemyśliwa,  
 I czynem dąży ku kraju swobodzie.  
 O dumna byłam z Wilhelma opieki  
 Że kocham męża, który przetrwa wieki  
 I dziś choć nieszcześć zważyło się krocie,  
 Choć syn mój legnie i mąż mój w niewoli,



Choć nędznie życie zakończę sierocie,  
 Jednak ta rana wcale mnie nie boli.  
 Niech kraj mój tylko zobaczę szczęśliwy  
 Niedbam czy syn mój, lub mąż mój jest żywy!  
 O nieraz pomnę, w wieczorniej godzinie,  
 Kiedy po pracy powróciwszy z roli,  
 Usiadł — pot zimny ucierając z czoła  
 Myśl jakaś wielka, a razem wesoła  
 Dumnie po pięknej jego twarzy płynie  
 I cudnym blaskiem, skronie mu okoli.  
 O! obraz taki! jest duszy odbiciem,  
 O! kto tak duma! ten duma dla czynu!  
 Czyn już dojrzewa pod powłoką myśli  
 W widome kształty przedsięwziąć się kryśli,  
 I niknie tylko razem z twórcy życiem  
 W kajdanach ziemi — lub w wieńcu wawrzynu.  
 Jego podróże tajemne w śród góry  
 Stós broni skryty pod skały pieczarą  
 Częste narady z wyborem górali —  
 Dały mi poznać, że się naradzali;  
 Aby kantony Unterwald i Ury  
 Razem z Zurykiem z gór z stąpili chmarą  
 I wielkie dzieło wolności spełnili.  
 Wiem że ich hasłem jest stós zapalony —  
 Kto go zapalić miał w jakiej potrzebie,  
 Tego ja nie wiem; — lecz pytam się Ciebie  
 Gdybyśmy naszą chatę zapalili,  
 A może kraj nasz byłby ocalony?!  
 Dojść na szczyt góry nie jesteśmy w stanie  
 A kiedy ogień spostrzegą wybrani,

Wiem że swe łuki na plecy zarzuca,  
 Razem pieśń świętą wolności zanuć,  
 I w jednej chwili wybuchnie powstanie,  
 A krew popłynie dla Ojczyzny w dani.  
 Co mi po chacie! gdy Wilhelm w niewoli?  
 Gdy kraj mój traci ostatnią obronę!  
 Kiedy mu słońce zachodzi na zgubę,  
 Gdy wszystko tracę, co mi było lubę!  
 Radź ojcie! słucham teraz twojej woli?“  
 — „Bóg Ciebie natchnął — jak zobaczę łonę  
 Górale nasi, powstaną do boju.“  
 A Edma w chwili porwie pęk łuczywa  
 I zapalony podkłada pod strzechę.  
 Kolebkę dziecka, tę matki pociechę  
 Z całym swym mieniem, pośród iskier roju  
 Widzi płonącą — wiatr w kłęby rozrywa  
 Dym; co jak olbrzym, wznosi się pod chmury  
 Płomień dym goni, tworząc nowe chmury,  
 Roznosząc w górze jasnej łuny koło.  
 Edma na pożar spogląda wesoło  
 Z starcem i Klarą spuszcza ją się z góry  
 I spiesźnie dąży pod Aldorfu mury.  
 Łuna! któż łune, witał kiedy mile?  
 Kiedy wróg dziki, wpadnie w kraj spokojny  
 Czerwone łuny rozpuści w około,  
 Drzy silny zamek — i drzy słabe sioło,  
 Wiekiem się męczarń stają w ów czas chwile  
 Aż znikną znowu, razem z wrzawą wojny.  
 Lecz dzisiaj płomień nie złowrogo świeci.  
 Łuna w Wernera sercu radość budzi.



Ona mu mówi: że przyszła godzina  
 Co Bóg ją ludom, przez swojego syna  
 Obiecał, — za krew, męczeństwo swych dzieci  
 Chwile wolności! szczęśliwości ludzi. —  
 Jeden się okrzyk wśród Schwitzu rozlega:  
 — „Walka za wolność! śmierć! śmierć! dla tyrana!“  
 Ury ją z Fürstem, krzyczy w uniesieniu.  
 A Malktal w burce, z łukiem na ramieniu,  
 Z ognistym wzrokiem wśród tłumu przebiega;  
 Na czole jego świeci się wygrana. —  
 Lud Unterwaldu ze czią się rozsuwa.  
 Przy takim wodzu, on wszystko pokona  
 A płacz radości rozlega się w tłumie.  
 O! co lud czuje, któż teraz zrozumie?!  
 Bo pękła straszna żelazna zasuwą  
 Co roje uczuć zamyka wśród łona.  
 O w takiej chwili co serce wypowi  
 Stanie za pokarm dla całego życia  
 O takie gody, pod tęczą nadziei  
 Rzadko się jawią wśród wieków kolei  
 I jeszcze wierzyć każą człowiekowie  
 Że przeznaczony do lepszego bycia.  
 Werner na czele ze Schwitzu młodzieży.  
 Ury chorągiew wie dzie Malktal śmiały.  
 Unterweld z Fürstem dąży pośród śniegu.  
 Nie liczne chufce! lecz w każdym szeregu  
 Napotkasz dzielnych, walecznych żołnierzy,  
 Co idą walczyć dla kraju i chwały.  
 A chociaż śniegiem zavalona droga  
 Chociaż wiatr mroźny roznosi zamiecie,

Ale w ich sercach, gore ogień wiary  
 Nim ożywieni podnoszą sztandary  
 I tylko pragną prędko spotkać wroga,  
 By mu zapłacić za wszystkie ofiary.  
 Z trzech stron waleczni do miasta zdążają,  
 A los Wilhelma jeszcze im nie znany  
 Bo mały Gemmi wstrzymany zawieją.  
 Związkowi wszyscy cieszą się nadzieją  
 Że go w Aldorfie wśród ludu spotkają,  
 Więc hurmem pieśni powstańcze śpiewają.  
 I chociaż droga, śniegiem zasypana  
 I wartkie wody kry niesą na łonie  
 Lecz oni spieszą aby w jednej chwili  
 Razem na mury twierdzy uderzyli  
 Krew wytoczyli z Helwecyi tyrana.  
 (Los o mało nie zniszczył ich trudu)  
 Bo tyran widząc jakiś ród w narodzie  
 Co już ockniony z letargu do życia  
 Głośno objawiał swego serca bicie  
 Gesler się przeląkł tych poruszeń ludu  
 Choć nie przypuszczał że zamek zdobyto  
 Lecz może braknąć żywności załodze.  
 W Lucernie wojsko do boju gotowe,  
 Więc by zamysłów jego nie odkryto  
 Skrycie opuścić zamek myśli w trwodze.  
 Sarnema przyzwać do siebie rozkaże.  
 I tak mu rzecze: miasto buntownicze  
 Znowu się burzy — każ podwoić strażę,  
 By raz kark zetrzeć chardemu plemieniu,  
 Co żywi ziarno wolności, swawoli! —



Ja ztąd wyjeżdżam — rozkaż przygotować  
 Statek w mą podróż — i zbrojna osada  
 Niech z piędziesięciu najlepszych się składa.  
 Tella to ziarno obrzydłych kąkoli  
 W kajdanach masz mi pod pokład w pakować.  
 Loch zamku Kuźnach jest zawsze otwarty  
 Tam on zaczeka spełnienia swej kary.  
 A wyrok na nim przykładem się stanie  
 Jak Gesler każe najmniejsze szemranie.  
 Ty mnie tu w każdój zastąpisz potrzebie.  
 Zamek jest mocny, wytrzymasz natarcie  
 Ale ja myślę nim przyjdzie do rzeczy  
 Że Ci posiłki przyjdą ku odsieczu.  
 „Ty nieszczędzł tłumu — lecz oszczędzaj siebie,  
 A ile możesz uczynić krwawem starciem.“  
 A Sarnem pyszny z takiego wyboru,  
 Sam się udaje do więzienia Tella  
 Bohater nie drży na widok siepacza,  
 Zimnej pogardy wzrokiem go naznacza.  
 A ten go wiedzie wśród zmroku wieczora,  
 By kto nie dojrzał ludu przyjaciela,  
 Gesler przebrany na statku się mieści,  
 Na spód okrętu rzucić więźnia każe  
 I liczną strażą otacza do koła.  
 Sam siadł na sztabie — bo myśl nie wesół  
 Zasepia lice — okręt woda pieści  
 Z halabardami w koło stoją strażę,  
 Statek odpływa — wiatr uderzył w maszty,  
 Lecz wiatr łagodny z południowej strony.  
 Gwiazdy płonące nad Aldorfu baszty

Wieńczyły miasto perłami korony,  
 Albo spadały wężem błyskawicy  
 W czyste jezioro jak łono dziewicy.  
 Sternik spokojnie przy rudlu spoczywa  
 Wiatr sam popycha do celu żeglarzy  
 Noc swoim płaszczem jezioro okrywa  
 Tell na dnie statku leżąc pośród straży  
 Widzi lodowych gór wierzchołki znane  
 Brzegi znajome, miejsca ukochane.  
 Długa jest pierwsza jeziora cieśnina,  
 Cztery Kantony objęły ją w ramy,  
 Chyży ją statek z lekkością przerzyna.  
 Już w oddaleniu widać Brümen bramy,  
 I już na drugie jezioro wpływają,  
 Przy winie pieśni majtkowie śpiewają.  
 Na lewej stronie puste Grutti skały  
 W lodowy pancerz przybrane wspaniale  
 Ostremi szczyty ku niebu strzelały  
 Jakby mówiły o tej ziemi chwale  
 Co wśród skał łona poczęta, nieznana,  
 Miecz podnosiła na głowę tyrana.  
 Ujrzał je Wilhelm — łzą zaszała żrenica.  
 Przed parą dniami, jej właśnie pieczary  
 Okryła świętych przysięg tajemnica,  
 W niej się spełniły najświętsze ofiary,  
 Ojczyzny wolność — miała świecić w dziele  
 A on dziś w więzach — gdzież są przyjaciele?  
 O gdyby nie wstyd, co mu tłumi łkanie  
 W głos by zaryczał na grobie nadziei.  
 Lecz masz go ujrzyć wróg podły w tym stanie!



Chmurno więc patrzy, jak nikną z kolei  
 Znajome drzewa — znajome urwiska,  
 Ogniwa kajdan do piersi przyciska.  
 Paznokcie nurzy w ciele swego łona.  
 Bogu złorzeczy za popsucie dzieła.  
 W tém nad Urykiem zaświeciła łona  
 Aldorf czerwonym płomieniem objęła.  
 Tell z wytężonym wzrokiem patrzy w strone  
 Z kąd widzi jasną wznoszącą się łone.  
 A pożar rośnie postacią olbrzyma,  
 Płomień do góry wznosi się iskrzący.  
 Wiatr południowy zarzewie rozdyma.  
 A Wilhelm w więzach od wzruszenia drżący  
 Jasno już widzi: że szczyt góry płonie  
 Co chatkę jego pieści na swém łonie.  
 A serce w piersi tak mu silnie bije,  
 I myśl po głowie tak wieje wesoła  
 Że swej radości już nawet nie kryje.  
 Lecz straż przyczyny odgadnąć nie zdoła.  
 Dziwi go tylko że znak umówiony  
 Trochę z przeciwnéj gdzie stós błyszczy strony.  
 Kto go zapalił? kto zgadł tajemnice?  
 Lecz mniejsze oto! kiedy znak już dany.  
 Uśmiech swobody wstępuje na lice  
 Pewny że pękną ojczyzny kajdany.  
 Lecz jakaż boleść, że nie dzieli trudu  
 Nie walczy razem wśród swojego ludu!  
 O cóż by niedał za chwilę wolności!  
 Za jedną chwilę zmierzenia się z wrogiem  
 Zrzekł by się żony i dziecka miłości!

Teraz z modlitwą uklęknął przed Bogiem  
 I jęk proszący z piersi mu wypływa,  
 Choć się swobody więcej nie spodziewa.  
 I Gesler łune także postrzegł zdala,  
 Ona się w sercu jego nie odbije.  
 Bo cóż mu chodzi że chaty obala  
 Że pożar nędzą biedaków okryje,  
 On by lud wszystek skazał na płomienie  
 Bo czyliż tyran ma kiedy sumienie?  
 On myśli teraz nad rodzajem kaźni  
 Jaką na jeńca swojego wymierzy.  
 Krwawe obrazy tworzy w wyobraźni.  
 Łuna się coraz w większe stęgi szerzy.  
 Statek na zachód cieśniny się zwraca  
 Już Unterweldu granice przekracza.  
 W tém wiatr się zmienia — niebo się zachmurza  
 Akwilon z grzmotem uderza o żagle,  
 Wszystko zwiastuje że nastąpi burza  
 Wiatr zachodni szturm przypuszcza nagle  
 Groźne bałwany wznoszą się spienione  
 I wściekle biją w każdą statku stronę.  
 A okręt trzeszczy — pod silnymi ciosy  
 Choć się opiera — wiatr ku skałom pędzi.  
 W koło przestrachu słyhać majtków głosy  
 Już niedaleko od skały krawędzi  
 O którą statek uderzy w ciemnicy.  
 Każdy ze drzeniem straszny moment liczy.  
 A wiatr zachodni, tnie lodem i śniegiem.  
 Zamieć śniegowa zasypuje oczy  
 Statek się rzuca tuż nad samym brzegiem,



To płynie najprzód, to na stronę zboczy,  
 To go bałwany unoszą na łonie  
 To znowu na sam spód jeziora tonie.  
 Bładość na twarzach — padli na kolana  
 I w trwodze Boga wzywają pomocy,  
 Nikczemny Gesler drżący wzywa Pana;  
 Aby chciał użyć nad nim swojej mocy.  
 Skarby oddaje by ocalić życie.  
 Wilhelm to widzi — uśmiecha się skrycie.  
 I czemóż życie tak dla niego drogie?  
 Czy mało jeszcze namenczył swych braci  
 Czy niedość jeszcze jego serce srogie  
 Dało się poznać w hieny postaci?  
 Lub może skrucha wstąpiła do łona  
 Bo trwoga cuda, nad podłym dokona.  
 A Wilhelm dumnie spogląda na wały,  
 Myśl jego krąży tam gdzie lud zebrany  
 Z pieśnią powstańczą rzuci się na wały  
 Wypędzi z kraju nikczemne tyrany.  
 Lub ległszy w boju dla wolności ziemi  
 Kraj swój użyźni jeszcze kośćmi swemi.  
 O burza teraz! to dla niego gody  
 I w jego piersi, tak samo bałwany  
 O skały uczuć, poświęceń, swobody  
 I strasznej zemsty biją na przemiany  
 Dumny że zginie razem z wrogiem braci  
 Śmierć mu się w miłej przedstawia postaci.  
 A wicher wściekle gna statek ku skale  
 Za chwilę belki rozprysną się w koło  
 Za chwilę okręt połkną wody fale;

Tell tylko jeden z dumą wznosi czoło.  
 Reszta osady w przestachu i drzeniu  
 Przypatruje się straszному wzburzeniu.  
 Zmrużając oczy, Modlitwy bełkota  
 Wtém jeden z majtków podniósłszy się powi:  
 — „Jeszcze nadzieja — Co“ — wrzaśnie chołota  
 „Ocal nas, wszystko oddać my gotowi“  
 — „Mów, mów, co prędjéj“ woła Gesler w drzeniu  
 „Co można zrobić w naszym położeniu?“  
 — „Jeden jest człowiek wśród kraju całego  
 Co mógł by stawić czoło takiej burzy;  
 On tu w kajdanach, każ wypuścić jego  
 On nas ocali wtej strasznej podróży.“  
 — A Gesler zadrzał na takową mowę  
 On ma darować życie buntownika?  
 Lecz strach przemaga i wołanie nowe  
 Jakie osada w około wykrzyka.  
 — „Rozkóście więźnia — zrobię tę ofiarę  
 Niechaj mnie zbawi daruję mu karę“  
 Wszyscy się rzuca, majtki i żołnierze  
 I w jednej chwili opadły okowy.  
 I Tell znów wolny — do steru się bierze  
 Trud to dla niego jest wcale nie nowy.  
 Znany on dobrze na tych jezior toni  
 Statek jak listek zadrzał w jego dłoni.  
 Sztabą go stawia na wiatru nawały  
 Te prą na zabój — bo dumnie się spiera,  
 Znów go wykręca rufą naprzód cały  
 Całą się siłą bałwanom opiera.  
 Wiosła brać każe, i naprężyć siły.



W mgnieniu się oka, ręce napreżyły.  
 I statek płynie w tył — nazad zwrócony.  
 Gesler w ciemności niezna tego zwrotu,  
 Tell szybko zmierza w znajome mu strony,  
 A myślą śledzi Malktala obrotu.  
 Już na Uryku znajduje się wodzie  
 Reszta pożaru już go w oko bodzie.  
 Ona za morską latarnią mu staje,  
 Zna dobrze brzegi — zna podwodne skały  
 Szybko więc wały rozdąsane kraje,  
 Dzień też z za Fajglu już wygląda biały.  
 Gesler spostrzega że statek zwrócony  
 Po Schwitzu płynie w znajome mu strony.  
 Okręt do brzegu już prawie dopływa  
 Gdy Gesler z gniewem do Tella przyskoczy  
 — „Mów gdzie mnie wiesz — zdrada się odkrywa!  
 Zwróć statek nazad! — lub krwi twój utoczy  
 Ten miecz, co w moim teraz ręku błyska;  
 Zwróć statek nazad! — bo śmierć twoja bliska!“  
 A Wilhelm milcząc ku skale dopływa.  
 Dumném spojrzeniem przemierzył Geslera.  
 W mgnieniu łuk silny zbirowi wyrывa  
 I jednym ruchem drogę sobie otwiera.  
 I w jednym czasie na skałę wysadza,  
 I już jest wolny — jak koza przesadza  
 Przepaść, co dzieli dwóch skał strome końce.  
 I już na ziemi — pnie się na szczyt góry  
 Tam stanął dumnie — jak orzeł gdy w słońce  
 Skieruje wzrok swój — niżej płyną chmury,  
 On oko pławi w niebieskim potworze

A pod nogami ma ziemię i morze.  
 Chwilę tak stoi na skały odłamie.  
 Łuk swój napręży — biada temu będzie  
 Do kogo Tella skieruje go ramie.  
 Strzała Wilhelma życie zeń dobędzie.  
 Gesler to widzi — bladość słoni lice  
 Bo odgaduje śmierci tajemnice.  
 Tell długo mierzy — jakby szukał tarczy  
 Jak by męczarnią obawy Geslera  
 Chciał się nasycić — w tém strzała zawarczy  
 I już w tyrana piersi się opiera.  
 Krew czarna buchła — on przekleństwa miota  
 Pada konając nikiemna istota.  
 O śpij spokojnie! ty sępie złowrogi  
 Kiedyś ludzkości wybije godzina  
 Co plemie nasze wygubi do nogi,  
 Bóg nie napróżno zesłał na krzyż syna  
 On nas odkupił przez krew swą i rany  
 On zwalczył czarta — my zwalczym tyrany.

~~~~~

Święto w Aldorfie! na gwałt biją dzwony,
 Święto wolności — święto zmartwychwstania;
 Już cały zamek w około otoczony,
 Już churmem słyhać radośne śpiewania
 Gdy Tell się zjawia na rynku wśród ludu,
 Pot twarz mu rosi od znoju i trudu
 Krzyk się radości rozlega w około,
 Echem odbite zachuczały góry,
 I wszyscy milczą — Tell rozniósł dumnie czoło,
 A ręką wskazał na zamek ponury,

Co groźnie sterczał jak pomnik przeszłości
 Władzy ciemieców — i ciemieców złości.
 — „Gesler nie żyje! zginął z mojej ręki,
 Już jego zbrodnie, sam Bóg teraz sądzi
 Wnieście Mu krótkie, ale szczere dzięki!
 Nasz kraj pomszczony! — ale mocno błądzi
 Ten co by myślał, że już wolność święta,
 Pośród gór naszych zwyczajko zatknięta.
 Zburzmy tę twierdzę co nasz kraj ocienia,
 Wyrzućmy wrzut ten precz z naszego łona.
 Austryak w ówczas nie znajdzie schronienia.
 W ów czas to wolność — despotyzm pokona.
 A więc do szturmu kto dzielny i śmiały
 Dalej rodacy! na wały! na wały!“
 I w jedne rękę porwał sztandar chwały
 A w drugą topór — i rażno podkoczy
 Tuż Fürst ze swymi postępuje śmiały,
 Werner gdzie stąpi krwią swą drogę broczy,
 Malktal ognisty, naprzód się wyrывa
 A głosem strasznym do walki zagrywa.
 A Gemmi z dzidą tuż przy ojca boku
 Walecznie idzie na pociski wroga.
 Zapał odwagi błyszczy w jego oku
 Cudnie to piękna dla młodziana droga.
 Sarnem to widzi — i czeka zuchwały
 Aby Górale podeśli pod wały.
 Chmarą strzał warstkich powietrze zaciemni,
 Jak grad kamienie sypią się na głowy.
 Stu już walecznych upadło na ziemię
 Ciałami swými zawalają rowy

Drudzy ich depcą na wały zdążają
 W Alforny trąbiąc — pieśń wojny śpiewają,
 Bo gardzą śmiercią waleczne Helwety,
 Śmierć im nie stanie zawadą do chwały;
 Na nich się patrzą ich kraju kobiety;
 Z sztyletem w zembach drapią się na wały
 I już do murów stawiają drabiny.
 Lecz próżne wszystkie waleczności czyny;
 Z wierzchu się na nich sypie gróz i cegły,
 Leje się olej i smoła gorąca.
 Już pierwsze hufce walecznych poległy;
 W okropnych mękach patrzą cierpień końca
 Gryząc kamienie, jęki tłumią w łonie.
 Lecz w śmierci nawet miłość ziemi płonie.
 Tu pada starzec — ale wzywa syna
 Aby szedł naprzód! — jego deptał ciało.
 Tu młode dziewczę kochanka zaklina
 By z jej uścisków szedł na wały śmiało.
 Tu Edma żegna swego jedynaka
 By szedł uderzyć w piersi Austryaka.
 Lecz Wilhelm próżno minuty nie traci,
 Ciężką drabinę do muru przystawia
 Wdziera się po niej — o wróg mu zapłaci
 Za krew rodaków za męczeństwo braci.
 Malktał chorągiew na murach zatyka.
 — „Zwycięstwo nasze!“ wesoło wykrzyka.
 Topór podnosi do góry skrwawiony
 I łeb Sarnema odpada z tułowa.
 Austryak śmiercią herszta przerażony
 Drząc łaski błaga — lub podle się chowa.

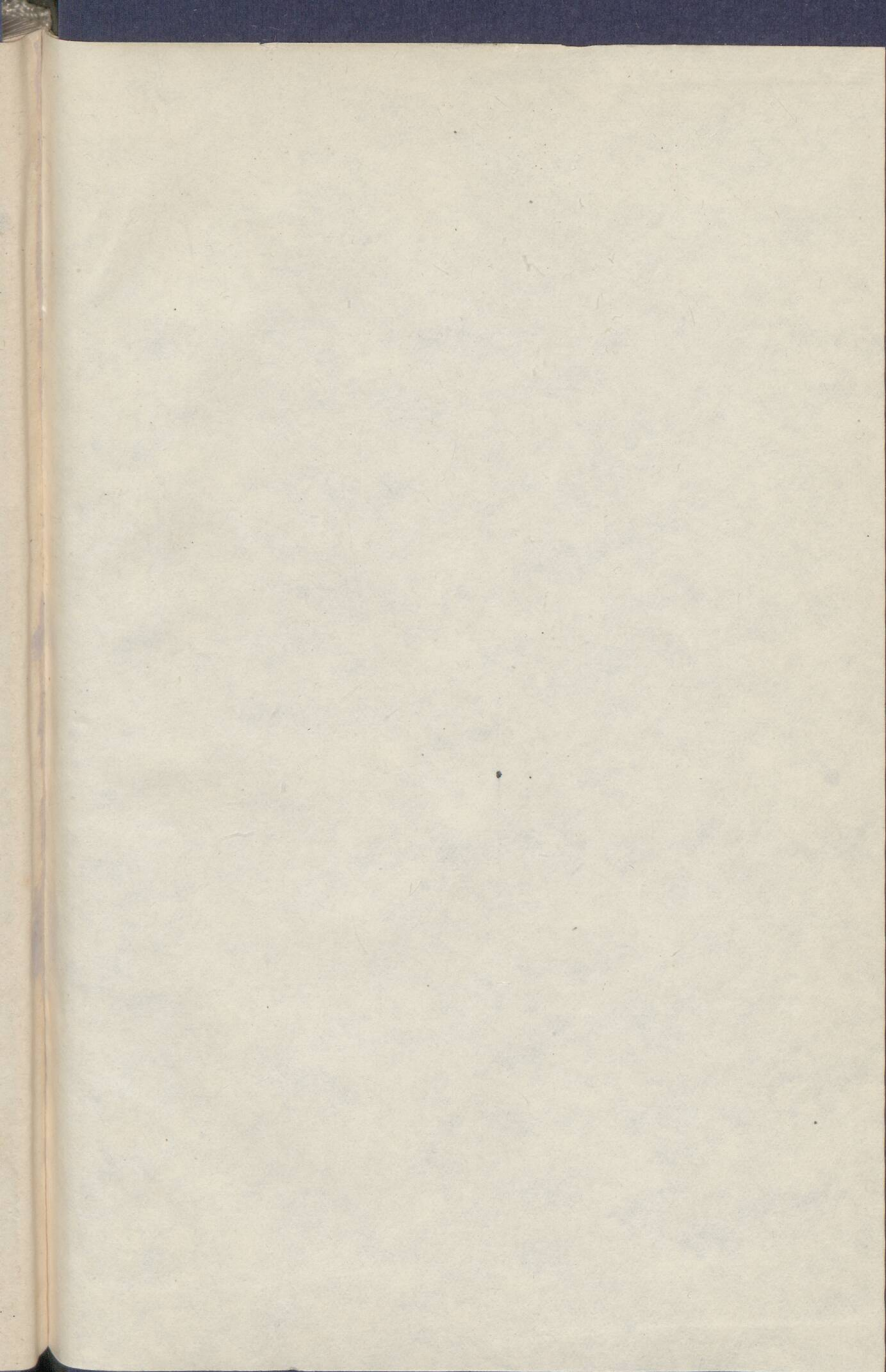
A dzielny Werner na Uryku czele
 Wśród stósu trupów drogę sobie ściele.
 Zwycięstwo wszędzie! — już cichnie głos wojny
 Gdzie niegdzie tylko rannych słychać jęki.
 A Malktal, Werner, Tell jak wprzód spokojny,
 Na murach klękli i szlę Bogu dzięki
 Że już spełnione dzieło odkupienia
 Dzieło wolności — Ojczyzny zbawienia.
 A lud w okrzykach w koło się weseli —
 Wojsko swych wodzów na ręce porywa
 W tryumfie niesie wśród obywateli;
 Lud z okrzykami swych zbawców przyzywa.
 Pragnie im oddać stér miłej Ojczyzny
 Za krew wylaną i szlachetne bliźny.
 W koło dziewice z wieńcami dębiny
 Wieńczą zwycięzców uznojone skronie,
 Lud z wrzawą w koło powtarza ich czyny
 Czcí krew wylaną w ojczyzny obronie.
 Wilhelma królem chce większa połowa
 Lecz on się oparł — i takie rzekł słowa:
 — „Obywatele! wznieście Bogu chwałę,
 Wolni jesteście! — lecz prawa wolności
 Łatwiej jest zdobyć, jak zachować całe.
 Tam dosyć męstwa, tu trzeba prawości
 I enót niemałych, godności uczucia
 Miłości własnej z swej piersi wyzucia. —
 „Zwycięstwo! — niech was nie łudzi zbytecznie
 A tych co w waszych szeregach walczyli
 Wywyższać w władzy zawsze niebezpiecznie,
 Choć by się sławą zwycięzców okryli.

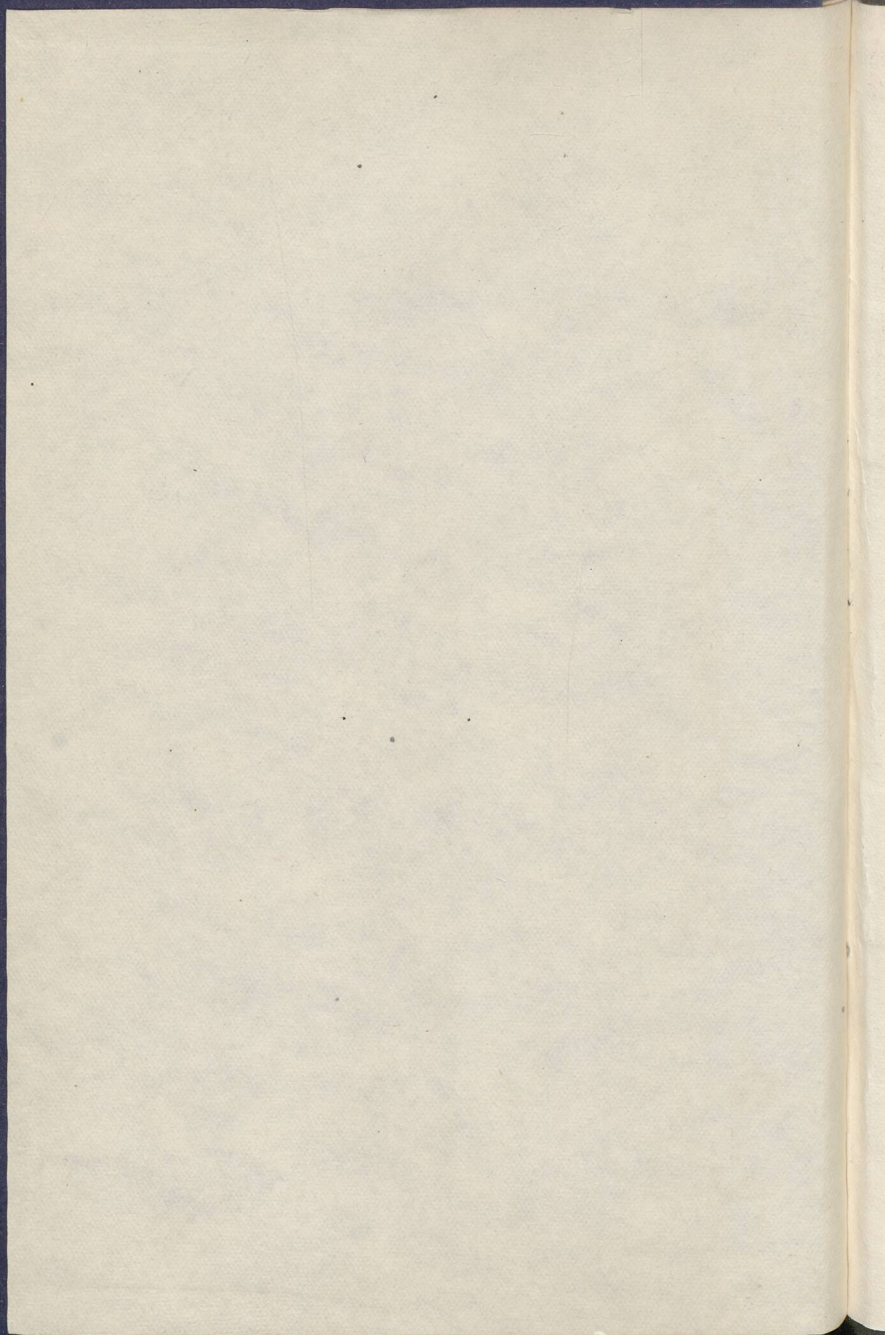
Chcecie nas dzisiaj już zrobić panami
 Za to że razem walczyliśmy z wami?
 Nagroda, jakiej żąda serce moje
 Jest być wam równym — nieść dla kraju życie.
 Za krew zaś moją, i za rany moje,
 Nader mi drogo w ów czas zapłaciecie,
 Gdy moja sława wśród was będzie skryta
 Wolność zakwitnie i Rzeczpospolita.
 Jej wszyscy mozem użytecznie służyć! —
 Stokroć przeklęty! — kto dumę okaże
 Zażąda władzy — by wolność nadużyć.
 Biada ludowi gdy go nie ukarze,
 Nie zstrąci z skały — lub nie wygna z kraju
 Jak w starój Grecyi było we zwyczaju.
 Niech wspólna rada postanowi prawa,
 Każdy niech radzi co ma wiek po temu
 Co kraj swój kocha i do boju stawia
 Bo w kraju wolnym, głos służy każdemu,
 „Urząd Lantmana od pradziadów czczony
 Z kołem doradcém niech będzie wznowiony.
 Senat niech prawa stanowi dla kraju,
 Lantman niech będzie pierwszy sługa prawom.
 Prawa uczyć święcie, miejcie we zwyczaju.
 Wolność! — jest właśnie uległość ustawom.
 Cnoty praocjów przechowajcie w łonie
 Bo miłość kraju najwyższa w nich płonie.
 Dla mnie już innej nie trzeba nagrody
 Jak imię brata — żołnierza wolności!
 Jak widzieć kraju mojego swobody!
 I w lubej ziemi złożyć moje kości! —

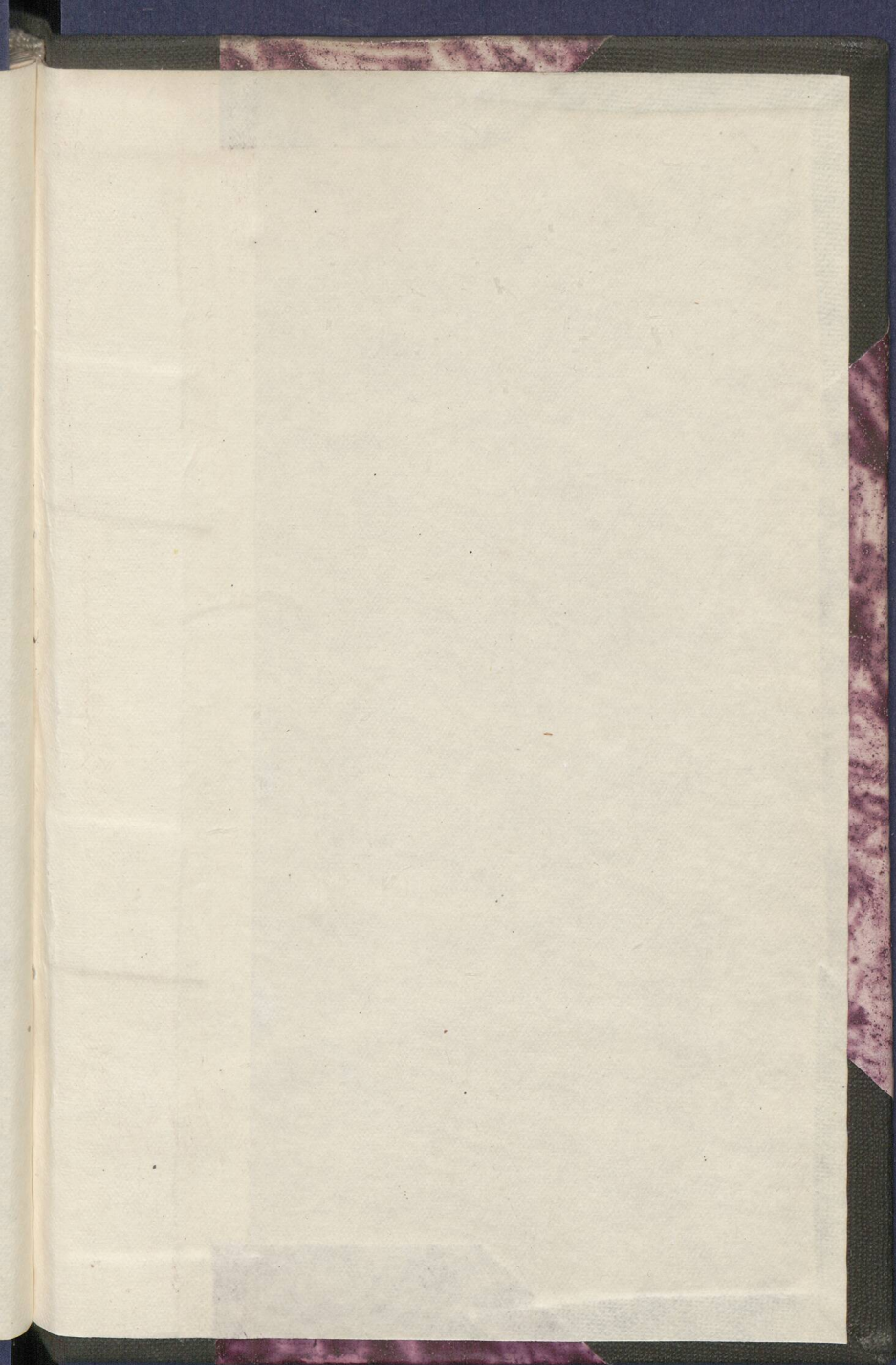
R

A kiedy Cezar znów rozpocznie boje
Aby nasycić dumne serce swoje;
W ów czas niech stósy na górach zapłoną,
Tell łuk znów weźmie i topór żołnierza
I z synem stanie dla kraju obroną.
Inne kantony przyjdą do przymierza,
Kraj nasz zostanie wolności schronieniem
A imię nasze walecznych imieniem.“
A lud z zapałem poklaskuje w dłonie,
Dwunastu zaraz wybiera do rady.
Wilhelm w zielonej dębowej koronie
Powraca w góry ze swymi sąsiady.
Wystawia chatę — i z synem pospołu
Znowu zaprzęga do swej sochy wołu.
Dwieście lat potem lud prowadził boje,
Aż kwiat wolności wywalczył wspaniały;
Dziś ma nagrodę za krew swą i znoje
Bo kraj ich wolny — sławny na świat cały.
A nad kim tyran swe rozciągnie dłonie
Ten znajdzie spokój w Szwajcaryi kantonie.
Polsko! ty arko świętego przymierza
Miłość swobody w piersiach twoich płonie
Już Ci męczeństwa chwila się domierza.
Wielka się przyszłość pocznie w twojem łonie.
I świat zapłodni od proga do proga
Będzie to wielki czyn, Wielkiego Boga.









BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU A.M. W POZNANIU



400834